Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 24 kwietnia 1938 r.* Nr. 17



Jest coś słoneczniejszego ponad samo słońce,
gdy radością przepełnia roześmiany świat,
coś śpiewniejszego — ponad ptaki śpiewające,
coś bardziej kwiecistego — niż kwiat...

Jest coś promienniejszego od samych promieni,
bardziej rajskiego — nad raj,
coś czystszego od leśnych srebrnych strumieni
i bardziej wiosennego — niż maj.

Jest coś niewinniejszego nad aniołów białość
i coś poranniejszego nad różany wschód,
coś, co ma dziwną wielkość, właśnie przez swą małość...
„Dziecko" się zowie ten cud.

Julian Ejsmond.

MAX DU VEUZIT

9)

Automat

Nic nie odpowiedziałam na to.

Przyszła mi do głowy myśl, iż Janusz de Saumarte, przysłuchujący się tej rozmowie, ma coś do powiedzenia.

— Rzeczywiście niebo zachmurza się, rzekłam po pewnym czasie. Muszę pospieszyć z powrotem do Presec.... Miałaś mi dać paczkę dla kogoś w wiosce. Blanko, przygotuj ją już, dobrze?

Podniosła się, spojrzawszy na mnie, potem na brata, który zachowywał się coraz niespokojniej.

Oddaliła się posłusznie, nieco zamyślona. Weszło to już w zwyczaj. Od czasu pełnych trwogi nocy, które, po naszej sprzeczce, spędziła Blanka przy chorym, przyzwyczaiła się do tego, by zostawiać nas samych, gdy tylko kaleka zaczynał się niepokoić.

Czy sądziła, iż moja odosobniona obecność dobrze wpływa na jej brata? Czy też przypuszczała co innego?

Nie wiedziałam tego i często zadawałam sobie to pytanie, nie znajdując na nie odpowiedzi.

Zaledwie Blanka odeszła, automat zwrócił się ku mnie gwałtownie; ręce jego wykonywały jakieś nieskoordynowane ruchy, oczy niespokojnie biegały pod zniekształconymi powiekami.

Zrozumiałam to niezwykłe podniecenie — chciał mówić ze mną.

— Co pan sobie życzy, spytałam, szukając jednocześnie w torebce ołówka i małego notesika, który pomagał zawsze naszym rozmowom.

Palce Janusza nabrały wprawy w trzymaniu ołówka, pisał więc już teraz zupełnie biegle.

— Piotr Desormiers jest niegodny pani, przeczytałam. To nędznik!

Byłam przygotowana na ten okrzyk; nie iżbym wiedziała coś złego o kandydacie mej babki, poprostu wydawało mi się naturalnym, iż Janusz musiał być zasadniczo usposobiony wrogo do tego człowieka.

Nie chciałabym, aby ta uwaga miała znamiona pychy lub kokieterii, nie grzeszę bowiem ani jednym, ani drugim; nie mogłam jednak nie wiedzieć o uczuciach, jakie Janusz de Saumarte żywił do mnie i łatwo odgadłam, iż projekt mego małżeństwa, powzięty przez babkę, jest mu nad wyraz przykry.

Jednakże zarzut „To nędznik", wypowiedziany tak kategorycznie przez kalekę, wydał mi się, uwzględniając nawet jego intymne uczucia, nieco przesadny.

— Czy zna pan Piotra Desormiers na tyle, by twierdzić iż jest on nędznikiem?

— To wstrętny jegomość pod każdym względem!

— Czy pan jest w obecnej chwili echem publicznej opinii, czy też to pana osobisty sąd o tym człowieku?

— Znam osobiście Desormiers'a i stwierdzam, iż jest to osobnik bez sumienia i honoru.

— Bez honoru? wyjąkałam, osłupiona takim oskarżeniem. I dodałam natychmiast:



W wyścigach samochodowych w Pan (Francja) zwyciężył Dreyfus na wozie Mercedens-Benz.

— Babka nie mogłaby wybrać dla mnie męża bez sumienia i honoru!

— Babka pani może o tym nie wiedzieć... Desorniers potrafi ją ująć...

— Ale czy pan przypadkiem nie myli się?

— Jestem zupełnie pewny!

— Dotyczy to Piotra Desormiers z Bredannes, a nie kogoś innego o tym samym nazwisku?

— Nie sądzę, aby jakieś inne indywiduum nosiło to nazwisko. Sabino, proszę mi wierzyć, mówię w pani własnym interesie: trzymałem tego człowieka w ręku, ode mnie tylko zależało, by go definitywnie unicestwić i jeśli pozostawiłem w spokoju tego nędznika, to tylko dlatego, iż miał on matkę i siostrę, które były niewinne i nie zasługiwały na taką hańbę. Gdyby jednak miał on z czasem zostać kimś bliskim dla pani, myśl iż pozostawiłem go wtedy przy życiu, stałaby się największą moją udręką.

Zapewnienia te nie przekonały mnie jednak w zupełności.

— Jeszcze słóweczko, Januszu, rzekłam poważnie. Czy ta młoda panienka, którą pan kochał i zamierzał poślubić nie była siostrą Piotra Desormiers?

— Świętokradcze słowa! Jak pani może przypuszczać po tym wszystkim co jej opowiedziałem, iż mógłbym dać me nazwisko... nazwisko poważne i szanowane przez tyle wieków, siostrze człowieka, o którym wyrażam się z największą pogardą?

Ten gwałtowny wybuch przekonał mnie bardziej, niż wszystko co dotychczas usłyszałam.

Janusz de Saumarte był w rzeczywistości zbyt szlachetny na to, by można było go posądzać o małostkowość. Jeśli wysuwał kwestię honoru swego nazwiska, by stwierdzić iż Piotr Desorniers jest człowiekiem nieuczciwym, było tak z pewnością, i nie mogłam go więc dłużej pomawiać o subiektywny sąd.

— Proszę mi wybaczyć Januszu, iż wątpiłam początkowo w to, co mi pan mówił, trudno mi było jednak przypuszczać, iż babka mogła się tak pomylić, co do tego pana. Zobaczę się z nim jutro — nie mam innego wyjścia, nie mogę bowiem powtórzyć tego wszystkiego co mi pan powiedział — zobaczę się więc z nim, ale, może pan być spokojny, teraz, gdy jestem uprzedzona, nie ulegnę jego czarowi.

Odetchnął z ulgą i wydając się zmęczony długą rozmową, odrzucił głowę na poduszki fotela. Ołówek wymknął mu się z palców.

Westchnienie Janusza prześladowało mnie przez całą noc.

Dla niego było to ulgą, pewnego rodzaju wyzwoleniem to przesunięcie na „święty nigdy" może, moich projektów matrymonialnych. Dla mnie jednak, dla takiej biednej sieroty jak ja, była to może jedyna szansa zamążpójścia, którą zamierzałam odrzucić.

Leżąc długo z rozwartymi oczami, nie myślałam ani przez chwilę o tym, by cofnąć przyrzeczenie dane Januszowi, opłakiwałam jednak moje smutne przeznaczenie starej panny, pozostającej na łaskawym chlebie w Presec.

* * *

Gdy na drugi dzień stawiłam się przed obliczem, wybranego przez babkę, pretendenta do mej ręki, wszystkie czarne myśli odleciały. Człowiek ten od pierwszego wejrzenia wybitnie mi się nie podobał i nie żałowałam już obietnicy, którą wymógł na mnie Janusz de Saumarte.

Był to wielki mężczyzna, lat około trzydziestu dziewięciu, o rudych włosach, szczeciniastej brodzie, o grubych, jakby wyciosanych siekierą, rysach. Na twarzy jego malowało się więcej sprytu niż inteligencji, lecz żywe i przenikliwe oczy wyrażały żelazną wolę, wpatrując się we mnie badawczo, jakby chcąc prześwidrować mnie na wylot.

Człowiek ten nie znał mnie. Wszystko wskazywało na to, iż widzi mnie po raz pierwszy, zaledwie bowiem weszłam do salonu, zaczął mi się ciekawie przyglądać. Przymknąwszy lewe oko, oglądał mnie od stóp do głowy. Zmieszana tym impertynenckim wzrokiem, czułam, iż rumienię się po białka.

Cóż to za brutal z tego Piotra Desormier, pozwalający sobie na podobnie bezwstydne oglądanie dobrze wychowanej panny?

Klnął nagle językiem:

— Nieźle, nieźle... W porządku, rzekł wreszcie.

Zanim miałam czas zrozumieć znaczenie tej sceny, babka moja, wstawszy z fotela, zbliżyła się ku mnie z promieniejącą twarzą.

— Moje drogie dziecko, rzekła pompatycznie, biorąc mnie za rękę, pozwól iż przedstawię ci pana Piotra Desormiers, który robi ci zaszczyt, prosząc o twą rękę... Uzyskał całkowitą aprobatę moją i proszę cię, abyś od dnia dzisiejszego uważała go za swego narzeczonego, którego chciałabym wkrótce ujrzeć twym mężem.

Cofnęłam się gwałtownie, wodząc rozszerzonymi oczami od babki do gościa.

Narzeczony! To było tak niespodziewane, tak nieprzewidziane w tym dniu, iż wybuchnęłam raptem głośnym śmiechem.

To było zbyt spieszne, doprawdy! Czyż babka straciła rozum, by wyobrażać sobie, iż poślubię tego człowieka tylko dlatego, że jej się tak podoba!

Tak, to było konieczne i należało raczej śmiać się, niż oburzać na podobną preten-

się i na takiego konkurenta, który tak łatwo, od pierwszego wejrzenia, zgadzał się na ponowną mu narzeczoną.

Śmiech mój wywołał zmarszczkę na czole gościa, poderwał babkę.

— Sabino, co oznacza ten bezwstydny śmiech? Przypuszczam, iż radość nie zmąciła ci zmysłów na tyle, byś zapomniała, co przystoi dobrze wychowanej panience?

— O, nie nie zapomniałam babciu! Pamiętam nawet o tym, iż każda młoda dziewczyna ma prawo nie zgodzić się na małżeństwo z nieznajomym mężczyzną.

— Na to jest właśnie okres narzeczeństwa; od dziś do dnia ślubu poznasz dostatecznie pana Desormiers.

Patrzyłam długo na małą, suchą kobietę, przemawiającą do mnie w ten sposób. Zrozumiałam nagle, iż zamierzała naprawdę przeprowadzić swój plan, że narzucała mi go z całą energią i uczułam, iż muszę natychmiast przeciwstawić moją wolę jej woli.

Odzyskałam od razu powagę. To nie była odpowiednia chwila do śmiechu. Powoli, zastanawiając się nad każdym słowem, odpowiedziałam:

— Żałuję bardzo, moja droga babciu, iż nie mogę zastosować się do twego życzenia, nie pragnę jednak bynajmniej wychodzić teraz za mąż, pozatem nie mam żadnej chęci na małżeństwo z rozsądku. Jestem jeszcze młoda i mimo, iż pan Desormiers jest, jak to zaznaczyłaś, kandydatem wybranym i zaakceptowanym przez ciebie, wolę jednak zdać się na siebie, gdy nadejdzie czas wyboru męża.

Zaledwie ukończyłam tą długą tyradę, głośny policzek przylgnął do mej twarzy.

— Co to za dyskusje, moja panienko! Zapominasz, iż karmię cię z litości i żeś pan Desormiers, postępuje bardzo szlachetnie, zgadzając się na to, by wziąć za żonę sierotę bez grosza.

Oczy moje, nabrawszy nagle surowego wyrazu, zwróciły się ku obcemu mężczyźnie, przysłuchującemu się spokojnie przykrej rozmowie, której był tematem.

— Bardzo dziękuję panu za tę nadmierną szlachetność. Mam nadzieję, iż inna dziewczyna ceni ją lepiej ode mnie. Nie chcę wychodzić za mąż i proszę, by pan Desorniers nie doszukiwał się innego powodu mej kategorycznej odmowy.

Schyliłam głowę w pożegnalnym ukłonie, nie czekając na drugi policzek, który miała chęć wymierzyć mi babka.

Drwiący głos gościa zatrzymał mnie.

— Czy to panna de Saumarte skłoniła panią do tej odmowy?

— Żałuję bardzo, iż pan uważa za stosowne wplątać nazwisko ogólnie poważanej

panienki w tą dyskusję, która, przedłużając się, staje coraz bardziej dwuznaczną.

— Dwuznaczną, krzyknęła babka. Co przez to rozumiesz, bezczelna dziewczyno?

— Oh, nic innego babciu, jak tylko to, iż narzucanie mi kandydata na męża, który stał się nagle twym faworytem jest wprost niezwykłe i że nie mniej dziwnem jest to, że ten kandydat, nie widząc mnie nigdy przedtem, zgadza się odrazu dać mi swe nazwisko, mimo iż nie posiadam żadnego majątku i nie objawiam dla niego najmniejszej sympatii.

— Wnioskujesz więc z tego, że...

— Wolę powstrzymać się od wniosków, muszę jednak zaznaczyć, iż Blanka de Saumarte nie ma nic wspólnego z moją odmową. Pozatem chciałabym bardzo wiedzieć, jakie powody mogłyby skłonić moją przyjaciółkę do odradzania mi małżeństwa z panem.

Uśmiechnął się w sposób niezwykle ironiczny i wygłosił zgryźliwą uwagę:

— Młode panny, które nie wyszły za mąż do dwudziestego piątego roku życia nie są zadowolone zazwyczaj, gdy ich młodsze przyjaciółki zaręczają się.

Gwałtowny rumieniec pokrył mi czoło.

— Panna de Saumarte jest niezdolna do takiego wyrachowania i dziwię się bardzo, iż podobna myśl mogła przyjść panu do głowy. Ponieważ czuję się jednak bardzo dotknięta pańskim posądzaniem, zapytam się jej, czy w przeciwnym wypadku zaaprobowałaby projekt mego małżeństwa z panem.

— O, to zbyteczne, by pani mówiła z nią o mnie, odparł żywo.

— To nie ja pierwsza wplątałam imię mej przyjaciółki do tej rozmowy.

— Jeśli pani zapewnia, że panna de Saumarte nie wpłynęła na odpowiedź pani, nie mówmy już więcej o tym.

— Nie ma ona absolutnie nic z tym wspólnego.

— Skoro tak, mam nadzieję, iż pani nie wypowiedziała swego ostatniego słowa.

— Moja wnuczka zrobi to, co ja jej każę, wtrąciła babka.

— Ależ... zaprotestowałam.

Babka zwróciła się ku mnie z wściekłością:

— Niech panienka zamilknie, gdyż plecie od rzeczy!

A potem rzekła do gościa:

— Drogi panie, niech pan będzie spokojny. Sabina przyjmie pana, gdyż tak być musi i tak będzie.

Desorniers pochylił się w ukłonie, chłodno przyjmując to oświadczenie.

Wybuchnęłam na nowo nerwowym śmiechem, przerywając te uroczyste pertraktacje.

— Oh, cóż to będzie za wspaniała panna młoda, która pójdzie do ołtarza pod uderzeniem szpicruty.

I niesforna, ująwszy z lekka dwoma palcami spódniczkę, zrobiłam głęboki dyg:

— Panie, droga babciu, mam zaszczyt państwa żegnać!

Zanim zdołali wyjść ze zdumienia zniknęłam sprzed ich oczu i, porwawszy w przedpokoju kapelusz, wybiegłam z domu.

Po dziesięciu minutach znajdowałam się już w lesie, idąc do Belle Vue.

Złość i oburzenie zdwajały me kroki i dodawały mi skrzydeł. Owładnęła mną jedna tylko myśl: skryć się pod opiekę mych przyjaciół przed babką i jej wymówkami.

Szłam wściekła, wstrząsana wewnętrznym buntem, żując twarde słowa skierowane pod adresem tej krewnej bez serca i tego mężczyzny bez godności, godzącego się na podany handel.

Przypomniałam sobie, co Janusz de Saumarte mówił:

— To nędznik pod każdym względem.

Wstrząsając się ze wstrętem, stwierdziłam, iż była to prawda.

— Co za nikczemna dusza, zawołałam półgłosem. Zgadza się na to, by dał swe nazwisko kobiecie, której nie zna i która go odpycha... To handel, beszczelny handel! I ja jestem jego przedmiotem! Ale co oni właściwie knują przeciw mnie?

Po upływie pół godziny wpadłam jak wicher do wielkiej sali w BelleVue. Brat i siostra byli jak zwykle razem: on, zawsze nieruchomy, ona zajęta pisaniem listów.

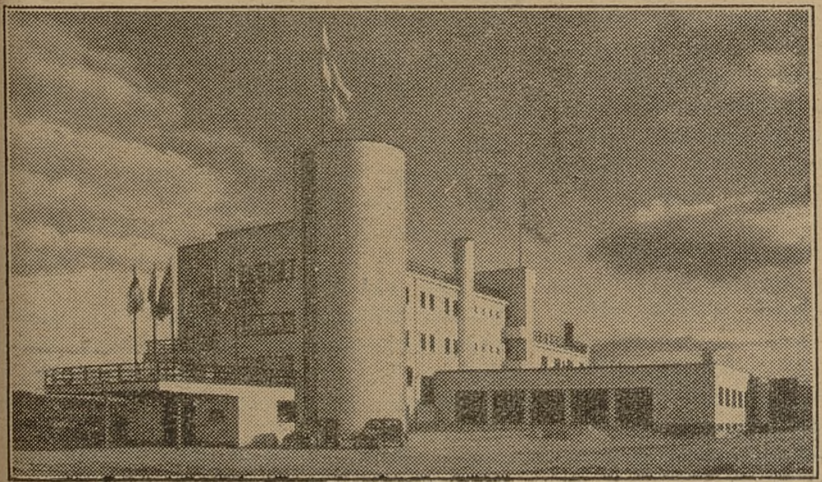
Nie spodziewali się mnie i byli zaskoczeni mym przybyciem.

— O, jak to dobrze, Sabino, że mogłaś przyjść! „Pańszczyzna" skończyła się wcześnie niż przypuszczałaś?

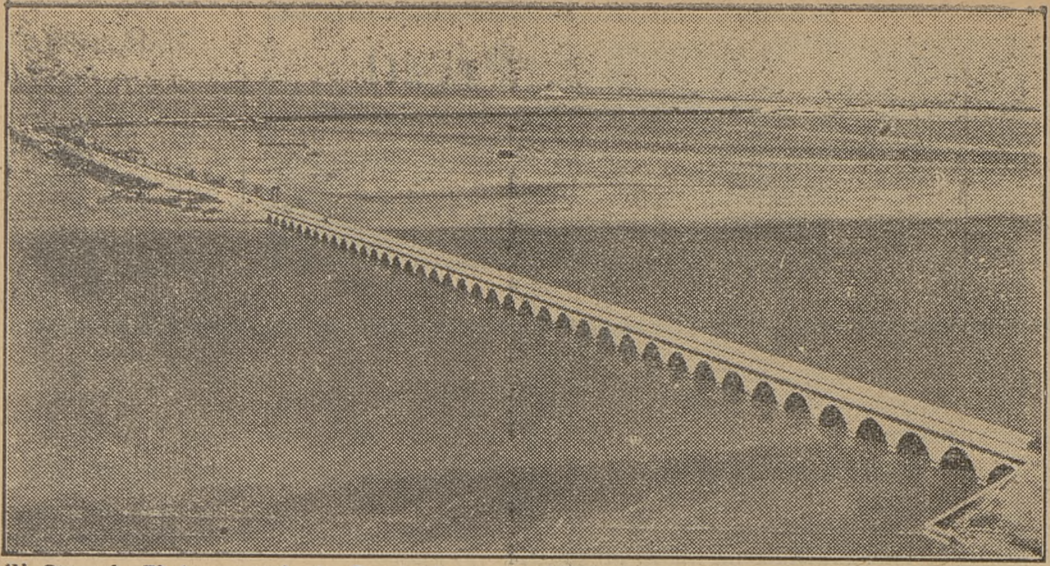
— Właściwie, uciekłam!

— Jakto? zawołała Blanka, a brat jej, jak to zauważyłam, czekał na mą odpowiedź, wstrzymując oddech.

— A więc odbyło się to w następujący sposób: Przedstawiono mi jakiegoś pana, ani pięknego, ani brzydkiego, lecz wielkie-



Najdalej na północ położony komfortowy hotel znajduje się w m. Pohjanhowi w Finlandii już za kręgiem polarnym.



W Stanach Zjednoczonych A. P. zbudowano najdłuższy most świata (ponad 11 km) łączący miejscowości Miami i Key West na Florydzie.

go, grubego, szerokiego, ciężkiego, słowem okropnego jegomościa. Najgorzej, iż od pierwszego wejrzenia stał mi się niesympatyczny. Ale nie trochę, tylko bardzo, ogromnie, no, najantypatyczniejszy w świecie. To straszne, i czuję, że to nie zmieni się we mnie! Ten pan absolutnie nie przypadł mi do gustu; a jeśli go będę często widywała, mój wstręt do niego wzrośnie, ale nigdy nie zmaleje...

Blanka śmiała się, ubawiona kpiącym głosem, jakim opowiadała to wydarzenie.

— No i co? spytała.

— No i cóż mogłam zrobić lepszego, niż powiedzieć temu jegomościowi, by nie miał żadnych złudzeń! A właśnie moja babka oświadczyła mi, iż począwszy od dzisiejszego dnia winnam uważać tego kolosa za swego narzeczonego, mając w perspektywie jak najrychlejsze małżeństwo.

— O, co za pośpiech!

— Tak, niczem błyskawiczny, bezpośredni pociąg Paryż-Londyn! To nie byłoby nawet małżeństwo przyśpieszone przy pomocy pary! Jesteśmy teraz przecież w wieku elektryczności, więc włączyłam motor!

— Co zrobiłaś?

— Też pytanie! O, przepraszam: robię się z tego wszystkiego niegrzeczna.

— Uchyliłaś się więc od tego zaszczytu?

— Zaszczyt, nazwisko, mąż, pieniądze: posłałam wszystko do diabła!

— Oh!

— Zapewne! Trzeba było albo wszystko wziąć, albo wszystko odrzucić... Odrzuciłam wszystko! Babka okropnie się rozgniewała i przyrzekła uroczyście swemu faworytowi zmusić mnie do tego małżeństwa. Zaprowadzi się mnie do ołtarza na łańcuchu, przeciągniętym przez żelazne kółko w nosie! Przez drogę będę tańczyła jak osioł, który nie chce iść naprzód; to będzie wspaniały orszak ślubny, jaki nie codzień zdarza się widzieć.

— Moja biedna mała!

— Tak, możesz mi współczuć, nie lubię bowiem tańczyć!... W oczekiwaniu tego pięknego dnia, wybuchnęłam narazie śmiechem przed nosem mych poskromicieli i uciekłam... Biegnąc tu, przeklinałam przez całą drogę Presec i jego mieszkańców. Gdyby niebo wysłuchało mych życzeń, dwór wraz z przebywającymi tam obecnie osobami, byłby już obrócony w popiół. Nie będę miała jednak przyjemności ujrzenia, jak się tam wszyscy smażą, i wobec tego proszę cię, byś mi dała schronienie u siebie przez jedną noc. Jutro odejdę... Nie wiem jeszcze dokąd się skieruję, w każdym razie nie chcę powracać do Presec, bowiem babka przyrzekła swemu faworytowi, iż mnie nagnie do swych życzeń. A ja już znam sposoby mej babki, by mnie upokorzyć.

— Przypuszczasz, iż uderzyłaby cię?

— Niestety! Nie było by to po raz pierwszy! Obawiam się jednak najwięcej uwięzienia. Zamyka mnie bowiem w swym pokoju na kilka dni, tygodni lub miesięcy, w zależności od tego w jakim czasie ulegnę.

— Biedna Sabinka!

— A więc Blanco, czy chcesz mnie przenocować?

— Zostaniesz tu tak długo, jak zechcesz.

Rzuciłam się ku niej, by serdecznie ją ucałować.

— Jesteś niezwykle dobra i uprzejma, Blanko droga. Nie będę mogła jednak, niestety, korzystać zbyt długo z twej gościnności.

— Dlaczego?

— Poróżniłoby cię to bowiem z moją babką.

— Moja przyjaźń wybrała ciebie i jestem pewna, że gdyby mój brat mógł mówić, pochwaliłby to postanowienie.

— Oczywiście, ponieważ pan de Saumarte jest równie dobry i szlachetny jak jego siostra. Ja muszę jednak pamiętać o plotkach, które otoczyłyby gospodarzy tego domu, gdybym po ucieczce spod rodzinnego, aczkolwiek niezbyt gościnnego, dachu Presec, schroniła się tutaj.

— Świat! powiedziała Blanka w zadumie. Już dawno zerwałam ze światem.

— Nieszczęściem jednak świat nie zerwał z tobą, i właśnie na złość twemu obojętnemu ustosunkowaniu się do niego, postarałby się o zbrukanie naszej przyjaźni. Pragnę opuścić Presec, ale przede wszystkim chcę się uchronić od piorunów gniewu babki.

Kaleka poruszył się niespokojnie w swym fotelu.

— Dokądże ty pójdziesz? spytała smutno Blanka.

— W tym właśnie mogłaby mi pomóc twoja przyjaźń. Wynajdź mi jakieś schronienie, lub raczej jakąś posadę, gdzie miałabym co jeść i gdzie mieszkać.

— Chciałabyś pracować!

Janusz de Saumarte zaczął nagle wydawać jakieś okrzyki. Zrozumiałam, iż chciałby zaprotestować przeciw mym projektom.

— Zrozum mnie dobrze, Blanko. Nie będę ci opowiadała o moim smutnym losie w Presec, muszę ci jednak powiedzieć prawdę, iż jestem tam traktowana jak włóczęga, przygarnięty z litości. Babka robi mi codzień wyrzuty nie tylko o to, co zjem. Niedawno, wobec Piotra Desormiers, przypomniała mi znowu moje smutne położenie sieroty bez grosza!

— Wiem dobrze, iż panna de Presec nie jest czuła; ale miałaś przy niej pewną swobodę. Wobec obcych byłaś w normalnych warunkach wnuczki, zamieszkującej u babki, w rodzinie. Dla twej przyszłości to było ważne i miałam nadzieję, że dzięki temu będziesz mogła wyjść za mąż za jakiegoś porządnego chłopca, odpowiadającego ci stanowiskiem i usposobieniem.

— Za jakiegoś Piotra Desormiers?

— W naszej okolicy są bardzo dzielni młodzi ludzie... Piotr Desormiers jest, na szczęście, wyjątkiem.

— Więc przypuszczasz, iż przyniosłoby mi to ujmę, iż straciłabym moją wartość osobistą, gdybym zarabiała na życie, zamiast pozostawać na łasce u wiecznie zrzędzącej i źle usposobionej krewnej?

— Przypuszczam, iż nasze przesądy utrudniają bardzo życie młodej dziewczynie, która opuszcza rodzinę... zwłaszcza na prowincji, gdzie złośliwość ludzka ma więcej wolnego czasu na zajmowanie się bliźnimi.

— Trudno. Wolę złość ludzką, niż złość mej babki. Blanko, błagam cię, pomóż mi opuścić te strony, znajdując mi jakąś pracę w innej okolicy.

— Ponieważ jest to twym życzeniem, Sabinko, przyrzekam ci, że zajmę się tą sprawą już od jutra nawet...

Nie sądzonem mi jednak było dowiedzieć się kiedykolwiek, co Blanka zamierzała już jutro uczynić dla mnie. Hałas Hna dziedzińcu przerwał jej rozpoczęte zdanie. Rzadko kto kiedy przyjeżdżał do Belle Vue, zjawienie się więc obcego pojazdu było nadzwyczajnym wydarzeniem.

Gdy stanęłyśmy przy oknie, poznałam, ku największemu memu zdumieniu, wózek z Presec, a w nim starego służącego Juliusza.

Zrobiłam ruch by uciec, Blanka jednak, otoczyła mnie ramieniem i przytuliła macierzyńsko do siebie, jak gdyby chcąc mnie osłonić.

— Jestem z tobą, Sabinko, nie potrzebujesz przecież lękać się niczego.

— Przyjechał po mnie. Boję się instynktownie.

Dał się słyszeć głos Juliusza:

— Czy panna Sabina jest tutaj?

— Owszem. Co chcecie od niej? spytała Blanka.

Służący otworzył drzwi:

— Proszę wybaczyć, panienko, rzekł grzecznie, ale moja pani...

— Panna de Presec?

— Tak.

— Cóż więc?

— Jest chora. Dostała ataku. Podniesiono ją prawie martwą. Pan Desormiers pojechał po lekarza; a Klaudyna kazała mi tutaj przyjechać po panienkę.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

78)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Kaszlała ciągle i pluła krwią, ale nic sobie z tego nie robiła. Goniła bez ustanku za zabawami, nie przeczuwając, że koniec jej jest bliski i nie przygotowując się nań wcale.

ROZDZIAŁ CCXCIV.

Cud w 19-stym stuleciu

Hortensja odczuwała bardzo boleśnie odprawę ze strony rodziny Nothów, tym bardziej, że i ta sumka, którą za lekcje u nich dostawała, bardzo dochody jej uszczupliła.

Musiała wydatki swoje jeszcze bardziej ograniczyć, aby nie wpaść w długi, co jej się też udało.

Myśl jednak, że ją wobec Nothów oczerniono i że teraz nią pogardzają, toczyła jak robak jej serce.

Mając wiele wolnego czasu, czytała wiele, a uprzejma sąsiadka, matka jej uczennicy, dostarczała jej książek, tygodników i gazet. W jednej z tych ostatnich znalazła Hortensja artykuł, który ją bardzo zirytował. Przeczytała go kilka razy, bo myślała, że to z pewnością o męża jej chodzi, to znów zarzucała tę myśl jako niemożliwą.

Artykuł, który wzbudził w niej te nadzieje i obawy, brzmiał jak następuje:

Cud w 19-tym stuleciu.

Kto to był w naszym trzeźwem i postępowym stuleciu pomyślał, że czas cudów i czarów jeszcze nie minął? Nikt w to pewno nie uwierzy, a przecież ja cud ten na własne oczy widziałem. Słuchaj szanowny czytelniku i dziw się!

Przed 4-ma tygodniami wedrowałem przez pustą okolicę w górnej Kanadzie i natknąłem się na wieś zwaną New-Limerick, najnędzniejszy i najbardziej zaniedbany kącik ziemi, jaki kiedykolwiek widziałem. Było tam może dwadzieścia i kilka pół zapadłych lepianek. Po błotnistych, niebrukowanych ulicach biegały chude wieprze i brudne dzieci. Rzadkie pola były źle uprawiane. Kobiety i mężczyźni włóczyli się ponuro i leniwie. Cała ta miejscowość robiła okropnie zaniedbane i nędzne wrażenie. Mieszkańcy wydawali się pół dzikimi ludźmi.

Wczoraj, dokładnie po 4-ech tygodniach, wróciłem znów do New-Limmerick i sądziłem, żem zbłądził, tak zupełnie inną miejscowość mi się wydawała. Ale przewodnik mój zapewniał mnie, że to jest rzeczywiście New-Limmerick, zmieniony tak od czasu znalezienia tam oleju ziemnego.

Oglądnąłem się zdziwiony.

Jak grzyby po deszczu, stanęły tu setki pięknych domków, niektóre wspaniałe jak pałace. Na niektórych powiewały kolorowe chorągiewki, oznaimując, że są to restauracje i winiarnie. Po czystych i wybrukowanych już ulicach, przesuwały się tłumy ludzi. Robotnicy i maszyniści wracali od pracy i zdążali do domów swych lub do restauracji. Słowem, panował tu ruch i ożywione życie.

Nędzny zajazd, w którym stanąłem przed 4-ma tygodniami, zamienił się na duży, okazały dom z napisem: „Restauracja i winiarnia Rip Drivera". W miejsce brudnej izby, zobaczyłem dużą salę z lustrami i obrazami na ścianach. W przyległym pokoju był bilard. Rip Driver zwijał się z całym rojem kelnerów wokoło gości. Przed kilku tygodniami jeszcze z trudnością dostałem tu kilka jaj i trochę chleba, a jako jedyny napój była wódka. Teraz miałem wybór między najrozmaitszymi delikatesami i najdroższymi winami. W samym New-Yorku nie mogło było być lepiej. Panie Driver — rzekłem do gospodarza płacąc mu — powiedz mi pan, co tu za cud się stał? — To wszystko zawdzięczamy źródłom nafty, które tu odkryto — rzekł Driver z szczęśliwym uśmiechem.



Król bułgarski, Borys jest zapalonym turystą górskim i dlatego też w tym roku spędza wakacje w górach Bułgarii.

— A dlaczego dawniej tego nie odkryto? — spytałem.

— Prawdę powiedziawszy, to i teraz nie myśmy to odkryli — rzekł Driver trochę zawstydzony — tylko dwaj bracia Bill i Jim Fredders, którzy tu przed miesiącem przybyli. Jeśli pan ich chce poznać, to każde dziecko pokaże panu ich dom.

Ciekawość moja była tak podrażniona, że poszedłem rzeczywiście, aby poznać dwóch najsławniejszych mężczyzn New-Limmericku. Przywitał mnie tam, może 16-letni, uderzająco piękny chłopak i zapytał, czego sobie życzę. Ledwo żądanie swe wypowiedziałem, wszedł rudowłosy olbrzym do pokoju i rzekł:

— Ja jestem Bill Fredders, mój panie! Przyjemnie mi poznać pana, proszę bliżej.

To mówiąc, wciągnął mnie do drugiego dziwacznie urządzonego pokoju. Poprosiwszy abym usiadł, pobiegł z prawdziwie amerykańską gościnnością po wino i szklaneczki, nie pytając nawet o powód mej wizyty. Wkrótce wszedł też drugi brat, tak piękny mężczyzna, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

Był mniejszy i szczuplejszy od Billa, o nadzwyczaj proporcjonalnej postaci. Głowę otaczały ciemne loki, a rysy twarzy przypominały grecką statuę. Usta jego ocieniał mały wąsik, spod którego błyszczały białe zęby. W oczach zaś miał tak dziwną melancholię, że sam siebie zdziwiony pytałem w duchu, jaki powód on mieć może do tak głębokiego smutku, kiedy tak niespodzianie odkryciem tym przyszedł do milionów.

Bill Fredders przywitał swego, tak niepodobnego do siebie brata z uśmiechem i rzekł:

— Widzisz Jim, ten pan jest dziennikarzem i chce opisać w gazecie swej nasze przygody i odkrycia. Co ty na to mówisz, Jim?

Teraz dopiero spojrzał Jim na mnie i przywitał mnie z miną światowca. Zdziwienie moje tym bardziej jeszcze urosło, gdyż Jim robił wrażenie wykształconego człowieka, podczas gdy Bill wyglądał jak awanturnik. Uderzyło mnie to również, że Jim mówił po angielsku zupełnie obcym akcentem.

— Czy panowie naprawdę są braćmi? — spytałem.

— Jesteśmy wszyscy trzej braćmi? — zaśmiał się Bill — nieprawdaż Francis, mój słodki chłopcze? — rzekł, zwracając się do najmłodszego chłopaka.

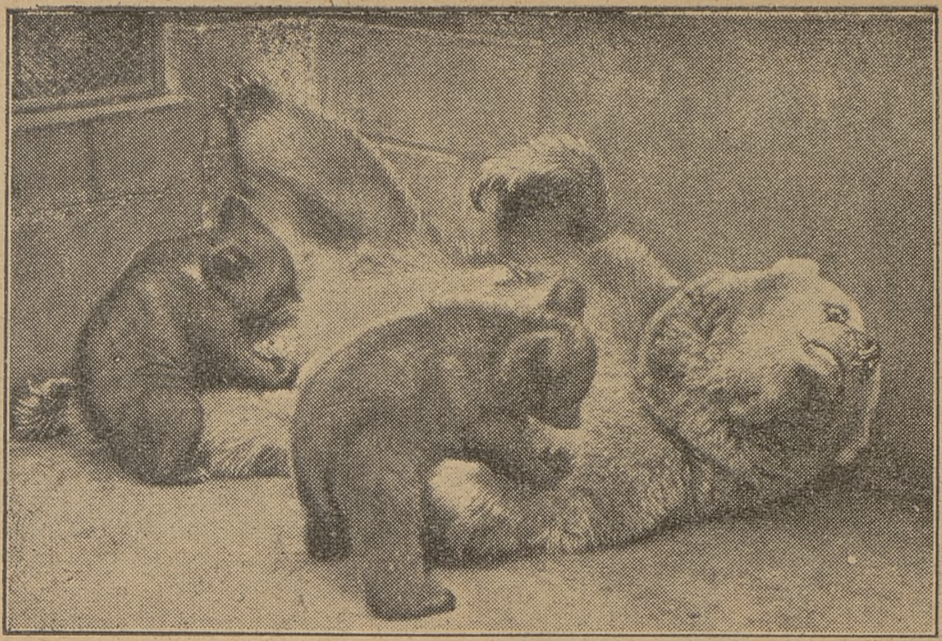
— Tak jest — odparł chłopak, cienkim głosikiem kobiecym, tak że mimo woli powziąłem podejrzenie, że musi być przebraną dziewczyną. Popatrzyłem bystro w tę stronę i podejrzenie moje potwierdziło się. Francis musiała być dziewczyną, sądząc po miękkiej, delikatnej jej cerze, okrągłości form i małych rękach i nogach. Przytem spostrzegłem, że oczy przebranej tej dziewczyny spoczywały ciągle na Jimie, który jednak najmniejszej na nią nie zwracał uwagi. Za to Bill, zdawał się nie myśleć o niczym innym, jak tylko o Francis, i tylko dla niej mieć oczy. Daremnie siliłem się na to, aby wpaść na tajemnicę związku, tych trojga ludzi, ale nie udało mi się to. Nie śmiałem zaś stawiać mu pytań prywatnej natury. Tymczasem opowiedział mi Bill historię odkrycia źródeł naftoBwych i sposób zużytkowania jej. Nie wypadało mi więc dłużej im się naprzykrzać.

Potem następował szczegółowy opis odkrycia i eksploatowania źródeł, którego tu nie będziemy czytelnikom po raz drugi powtarzać. Artykuł kończył się przepowiednią jeszcze większego wzrostu New-Limmerick, przyznając zasługę tego, abu wynalazcom. Podpisany był ten artykuł nazwiskiem jednego z najbardziej znanych dziennikarzy amerykańskich.

Hortensja czytała ten artykuł niezliczone razy, szukając wciąż oczyma opisu tak zwanego „Jima". Tak, to był jej mąż! Żył więc i dorabiał się majątku! Ale dlaczego nie dawał znaku życia o sobie? Obiecał przecież wrócić do niej, gdy sobie ugruntuje egzystencję. Teraz zaś doszedł już do tak wielkiego majątku, a zawsze jeszcze milczał! Czy przestał ją może kochać? Czy może owa przebrana dziewczyna serce jego pozyskała?

Tak myślała i kombinowała, potem znów zarzucała tę myśl.

Było to dla niej zagadką. Nie wiedziała więc co ma myśleć, ale artykuł ten obudził na nowo jej tęsknotę i boleść, a biedne jej serce doznawało wszelkich mąk zdradzonej miłości.



Miły obrazek z życia w zoologu.

ROZDZIAŁ CCLXV.

Zemsta

New-Limmerick zmienił się rzeczywiście tak, jak wyżej wymieniony artykuł to opisywał.

Tysiące ludzi pracowało przy tym przedsiębiorstwie. Podziemne rury sprowadzały bez trudu, wydobyty olej na miejsce przeznaczenia. Źródła te okazały się niewyczerpane, również zaś niewyczerpane musiały być pieniądze, które zgarniali obaj szczęśliwi odkrywcy. Prócz tego sława ich rozbrzmiewała po całej okolicy i głośno mówiono o ich powodzeniu.

Bill jaśniał i promieniał szczęśliwością. Był wprost oszołomiony, a przytem miłość jego dla Francis rosła z każdym dniem. Był niewyczerpany w grzecznościach i niespodziankach dla niej i niechętnie na chwilę nawet ją opuszczał.

Czuwał on troskliwie nad tym, aby żaden z obcych, którzy teraz tak licznie do New-Limmericku przybywali, nie odkryli przypadkowo jej płci, słowem kochał ją z całą wiernością i oddaniem.

Dziewczyna, prawie że nie zwracała uwagi na to, i obojętnie przyjmowała wszelkie jego uwagi. Wszystkie jej myśli i uczucia koncentrowały się tylko na Leonie. Jakże chętnie byłaby mu się duszą i ciałem oddała! A on niczego od niej nie żądał!

Czytała ona w smutnym spojrzeniu jego oczu i melancholijnym wyrazie jego twarzy, że tęsknił za swoją żoną, a na nią nawet nie zwracał uwagi.

Za każdym razem, wracając do domu, otwierał drzwi z pytaniem:

— Czy nie było to listu dla mnie?

Za każdym też razem po zaprzeczającej odpowiedzi, taki ból malował się na jego twarzy, że aż serce Franciszki z nim współczuło. Z drugiej strony zaś przerażała ją zazdrość, która jej sprawiała piekielne męki i spaczała jej, tak zresztą dobry i szlachetny charakter.

Obojętnie przyjmowała wielkie sumy, które jej Bill i Leon za mały, pożyteczny u niej kapitalik i nie brała też żadnego udziału w żywym ruchu New-Limmericku.

Pewnego wieczora, gdy Leon wrócił z Billem od pracy, zapytał jak zwykle o list, ale głos jego drżał bardziej, niż zwykle i oczy pałały ponurym ogniem.

— Nie ma żadnego listu! — odparła Francis z udanym spokojem.

Bill spojrzał z współczuciem na swego towarzysza i klepiąc go po ramieniu, pocieszał go.

Leon zadumał się na chwilę, potem rzekł stanowczym głosem:

— Jutro wracam do Europy!

— Co-o! — zapytał Bill, nie wierząc swoim uszom.

Francis nie odezwała się wcale, ale zbladła jak ściana i musiała się oprzeć o krzesło, przy którym stała, aby nie upaść.

— Wybieram się jutro do Europy — powtórzył Leon stanowczym głosem. — Ty Billu możesz dalej sam naszym przedsiębiorstwem kierować i pewny jestem, że będziesz miał mój interes na oku, tak samo jak swój własny. Francis także ma dobrego opiekuna w tobie. Dlaczegożbym więc nie mógł odjechać? Może wrócę za 6—8 tygodni i jeśli Bóg pozwoli, już ze swoją żoną!

— Jeżeli ci o to chodzi — odparł Bill serdecznie — to jedź mój chłopcze i bądź przekonany, że na mnie pod każdym względem możesz polegać! Daj Boże, abyś swą żonę zastał zdrową i wierną i szczęśliwie tu z nią wrócił!

Obaj ci, tak nierówni sobie towarzysze, uścisnęli sobie w milczeniu rękę i Leon zabrał się z gorączkowym pospiechem do przygotowań swych do podróży.

Francis zawsze jeszcze milczała i nie ofiarowywała mu się z pomocą, zak zwykle. Lecz gdy Leon wyszedł z domu, aby przed odjazdem swym pomówić jeszcze z pełnomocnikami braci Harcourt, Francis oczekiwała powrotu jego przed domem.

— Co ty tu robisz? — spytał Leon zdziwiony — dlaczegoś nie w swoim pokoju?

— Może się jeszcze zapytasz, dlaczego ja nie śpię? — zawołała dziewczyna z rozpaczą w głosie czyż myślisz, że ja mogę znaleźć spokój, po wszystkim tym, com dziś od ciebie słyszała? Czy to prawda Jimie, że chcesz odjechać i opuścić mnie?

Zakryła twarz rękoma i wybuchła głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Francis, jak możesz tak mówić? — pocieszał i mitygował ją Leon — zostawiam cię przecież pod opieką Billa, który obiecał strzec cię jak oka w głowie! Wracam zresztą za kilka tygodni z żoną, jeśli Bóg pozwoli, a wtedy nastanie dla ciebie wesoły i szczęśliwy czas, bo będziesz w Hortensji miała siostrę i przyjaciółkę.

Francis zaśmiała się głośno i gorzko.

— O, ty ślepy człowieku! — krzyknęła ona dziko — co mnie po siostrze i przyjaciółce, kiedy ja tylko ciebie chcę! Ciebie i nikogo innego! Czyż nie widzisz, że moje serce tylko do ciebie należy i że mam tylko to jedno życzenie by umrzeć w twoich objęciach? O, pozwól mi raz choć oprzeć głowę o twoją pierś, a potem wbij sztylet w moje serce! Ja nie mogę tak dłużej żyć! To piekielne męki dla mnie. Zlituj się nade mną i zabij mnie i daj mi umrzeć w twoich objęciach!

Francis szalała z rozpaczy. Rzuciła się Leonowi w ramiona i prosiła go zdławionym głosem, aby ją zabił.

Początkowa niechęć Leona zmieniła się w litość. Myślał, że ona tę nieszczęśliwą miłość do niego dawno już przebolała i zdziwił się niemało jej namiętnej spowiedzi. Nie pogardzał nią jednak, mimo, że ona tak bardzo o swej godności kobiecej zapomnieć mogła. Objął ją po bratersku, pocałował ją w czoło, jak płaczące dziecko, i starał się pocieszyć.

Lecz Francis inaczej to pojęła i przycisnęła go namiętnie do swej piersi, zaczęła twarz jej odkrywać namiętnymi pocałunkami.

— Więc mną nie pogardzasz? — szepnęła i masz choć iskierkę miłości dla mnie! Nie żądam całego twego serca, ale choć trochę miłości mi daj! Zadowolę się tym. Zostań przy mnie, nie jedź do żony! Ona ci na twoje listy nie odpowiada! Ona cię więcej nie kocha, jej serce do kogo innego należy! Gotowa cię przyjąć chłodnym spojrzeniem. Nie jedź! Zostań tutaj! Chcę do ciebie należeć duszą i ciałem! Moja miłość wynagrodzi wszystko! Zostań najdroższy!

Leon przestraszył się tego namiętnego wybuchu młodej dziewczyny. Chciał jej przerwać, ale ona nie dopuściła do tego. Wreszcie udało mu się wywinąć z jej objęć.

— Francis — rzekł uprzejmie, trzymając ją za rękę — uspokój się i pomyśl nad tym, coś mi przed chwilą powiedziała. Ja jestem żonatym człowiekiem, a kościół nasz nie pozwala rozwiedzionym wchodzić w powtórne związki. Mogłabyś więc w najlepszym wypadku, być moją kochanką. Chcę zapomnieć o tym, coś teraz powiedziała i ty o tym zapomnij. Ta chwila musi być wymazana z naszej pamięci, jeżeli chcemy nadal być szczęśliwi. Opanuj swą namiętność kochana siostro — i...

— To jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? — przerwała mu Franciszka — to jest twoja odpowiedź? Nie mogę w to uwierzyć, że mnie odpychasz! Powtarzam ci raz jeszcze, kochany mój, że chcę być twoją kochanką, służącą, niewolnicą! Tylko mi pozwól być twoją!

Rzuciła się przed nim na kolana i objąwszy kolana jego, okryła je pocałunkami.

— Nabierzże rozsądku, Francis — rzekł teraz Leon gwałtownie, usuwając się od niej — i pomnij o swej kobiecej godności! Przyrzekłem ojcu twemu, że cię będę ochraniał, i zacznę tym, że cię przed sobą samym uchronię! Postanowienie moje jest niezłomne! Wracam do Europy, do swej żony, którą kocham nad życie. Dla ciebie nie mam nic, prócz braterskiego uczucia i życzę sobie zastać cię przy powrocie wyleczoną z twej nierozsądnej namiętności.

Siedziała na ziemi bez ruchu, bez słowa!

— Chodź do pokoju! — rzekł Leon rozkazująco.

Powtórzył raz jeszcze swój rozkaz, a gdy nie usłuchała, złapał ją silnie za ramię i pociągnął za sobą do mieszkania.

— Mogłabyś się na śmierć zaziębić, siedząc tak na wilgotnej ziemi — rzekł do niej nieco łagodniej.

Ona nic mu nie odpowiedziała i weszła milcząc chwiejnym krokiem do swego pokoju i ze spuszczonymi oczyma.

Leon spojrzał za nią niechętnie. Miał zupełną świadomość, że wobec niej zawsze uczciwie postępował, i że niczym nie wzbudził jej uczuć i nadziei.

Mimo to, scena ta była dla niego okropnie przykrą i dałby wiele za to, gdyby się to zmienić mogło.

Gdy wreszcie zasnął, trapiły go przykre sny, w których Francis zawsze jakąś smutną rolę grała.

To rzucała się z przekleństwem na ustach między niego i Hortensję i zabraniała mu zbliżyć się do odnalezionej żony. To znów widział ją stojącą z tryumfującą miną przed Hortensją, której twarz była blada i łzami zalana.

Spocony i zmarnowany, obudził się nad ranem, zadowolony, że to już koniec tych trapiących snów.

Francis spędziła noc bezsennie. Nie mogła oka zmrużyć i siedziała po ciemku skulona na podłodze swej izdebki. Nie czuła ona już teraz nic, prócz gorącej nienawiści.

Gdy zeszedł księżyc i oświecił jej bladą twarz, okazało się, że rysy jej w przeciągu tych kilku ostatnich godzin okropnie się zmieniły.

Z twarzy jej znikła bez śladu dawna jej miękkość i łagodność, czoło było zorane zmarszczkami, z oczu jej pałał wyraz dzikiej nienawiści i chęci zemsty, a usta były zaciśnięte, jakby się bała zdradzić z jakimś złym postanowieniem.

Tak przesiedziała całą noc na podłodze, knując zemstę.

Zemścić się krwawo na człowieku, którego dotychczas szalenie kochała, którego niewolnicą być chciała, a który ją od siebie odtrącił, było obecnie jednym jej dążeniem.

Nie wzdrygała się przed żadnym środkiem i tak jak dawniej, byłaby poświęciła wszystko dla swej miłości, tak teraz chciała wszystko poświęcić dla swej zemsty.

Leon uważał to za naturalną rzecz, że się Francis teraz mu nie pokazywała.

Uważał to za znak, że kobieca duma przecież nie zupełnie w niej jeszcze zamarła i że ona się wczorajszej sceny wstydzi.

Pożegnawszy się serdecznie z Billem, poruczył mu Leon pozdrowienie dla Francis i wsiadł na swego konia, aby zdążyć do najbliższej stacji kolejowej. Tam zaś chciał się dowiedzieć, z którego portu pierwszy okręt do Europy rusza i do tego portu chciał zdążyć.



Wojska hiszpańskiej armii narodowej w chwili zdobywania barykady na ulicy miasta Lerida.

Podczas jazdy miał ciągle obraz swej żony w duszy i przed oczyma.

Bill patrzał czas jakiś za odjeżdżającym i wrócił do mieszkania.

Francis była jeszcze w swojej izdebce, a Bill czekał na nią, mimo, że już było późno i najwyższy czas był już pójść do interesu. Serce nie dawało mu jednak odejść, nim się z ukochaną dziewczyną nie zobaczy. Przygotował jej herbatę i zaczął właśnie przypiekać dla niej „toyst" gdy się drzwi jej izdebki otworzyły i weszła Francis.

Czekała ona tylko na oddalenie się Leona, którego obserwowała ze swego okna pałającymi oczyma i drżącymi ustami.

Słysząc jej kroki, odwrócił się Bill zadowolony, ale przeraził się, gdy zobaczył jej bladą, zmienioną twarz i ponury błysk jej oczu.

— Na Boga, jak ty wyglądasz chłopcze! — zawołał Bill zaniepokojony — czyś chory?

— Mam okropny ból głowy — kłamała Francis, nie chcąc przyznać się do prawdy.

— Biedaczko! — pożałował jej Bill — spodziewam się, że to wkrótce przejdzie!

— Pewnie — rzekła Francis — nie ma najmniejszego powodu do obawy. Wieczorem wszystko znów będzie w porządku.

— Szkoda, żeś zaspał Francis — rzekł Bill — Jim już odjechał i poruczył mi pozdrowienie dla ciebie.

— Więc już odjechał? — zapytało dziewczę bezdźwięcznym głosem.

— Prawda, że ci nie będzie bardzo brakowało? — zapytał Bill czule. — Wiem, że nie mogę być takim jak Jim, ale zadam sobie dużo pracy, aby ci go zastąpić. Wiesz przecież Francis, że ja dla ciebie duszę bym oddał i że nie ma dla mnie większego szczęścia, jak pełniać twoją wolę!

Zatrzymał się nagle, jak gdyby się obawiał, że już za dużo powiedział i spojrzał badawczo w oczy dziewczęcia, czy ona się na niego nie gniewa.

Ku wielkiemu radosnemu zdziwieniu, zobaczył on jednak na twarzy jej wyraz wzruszenia. Z oczyma pełnymi łez, wyciągnęła ku niemu serdecznie obie ręce.

— Mój dobry Billu — zawołała ona żywo — chciałabym móc odwdzięczyć się za twoją miłość, ale to tak trudno! Jak chcesz, to możesz mnie pocałować! — dodała ona po chwili.

Przez chwilę patrzał Bill na nią osłupiałym wzrokiem, nie wierząc swoim uszom. Gdy jednak zobaczył, że ona swoje różowe usta nadstawiła, zbliżył się do niej i pocałował ją czule. Zadrżał, jak gdyby elektryczny prąd przeszedł mu po ciele, i on, mężczyzna, zarumienił się aż po uszy i prawie że nie śmiał podnieść oczu na dziewczynę, która była jedynym celem jego marzeń.

Wreszcie oprzytomniał i wybełkotał nieśmiało, że musi zajrzeć na pole.

Wyszedł z mieszkania oszołomiony i upojony swym szczęściem.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, wybuchnęła Francis konwulsyjnym płaczem.

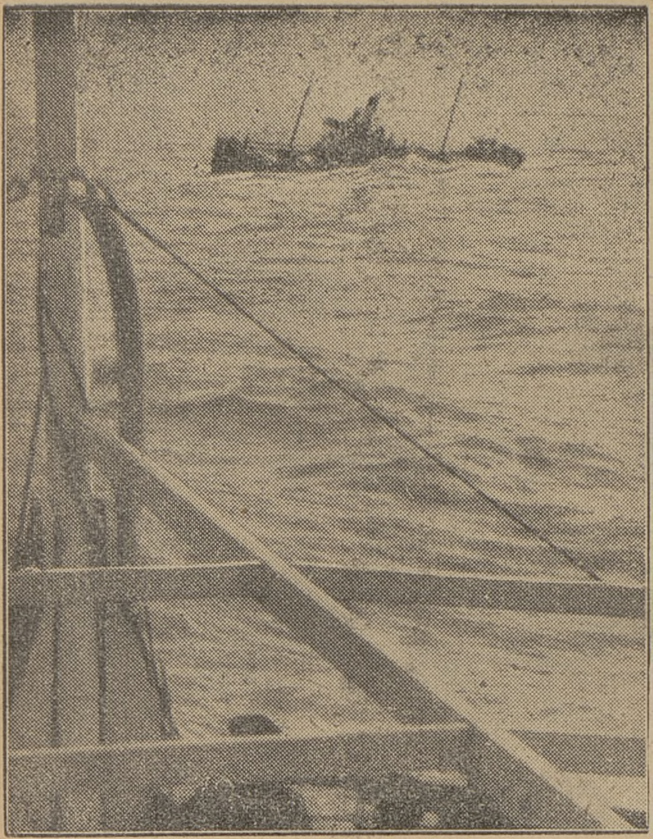
— O, dlaczego ja go nie mogę kochać! — zawołała. — Mogłabym być tak szczęśliwą! Ale tak, nie pozostaje mi w życiu nic, jak tylko moja zemsta, którą mieć muszę i to za każdą cenę!

Osuszyła łzy, opanowana jakąś rozpaczliwą energią. Potem wróciła do swej izdebki, zabrała swoje papiery i pieniądze i poszła do stajni.

Zręcznie osiodłała swego wierzchowca, dosiadła go i pogoniła w tym samym kierunku, który Leon rano obrał.

Bill był tego dnia ogromnie roztargniony. Dawał robotnikom swym rozkazy, które później odwoływał, chwalił i ganił nie na miejscu, dość, że poznać było, iż myślą był dziś gdzieindziej.

Wreszcie niepokój jego tak się wzmógł, że nie mógł dłużej na miejscu wytrzymać



Angielski statek „Pegaway" uległ katastrofie i, jak to widać na zdjęciu, zaczął tonąć. Załogę zabrano na pokład statku niemieckiego „Wilhelm Gustloff", z którego zrobiono również zdjęcie.

i opuścił robotników swych wcześniej niż zwykle, aby pospieszyć do domu.

Lecz ku wielkiemu swemu przerażeniu, zastał dom pusty. Zapukał kilka razy do izdebki Francis i wołał ją po imieniu, ale nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

Gdy wreszcie zrozpaczony, odważył się otworzyć drzwi do jej pokoju, zobaczył, że i tam jej nie było.

Okropny strach ogarnął Billa.

Co się Francis mogło stać? Może poszła do jakiejś sąsiadki i tam się jej źle zrobiło — pomyślał. Trzeba ją będzie szukać!

Wybiegł też niezwłocznie i zaczął ją po całym miasteczku szukać, pytając każdego przechodnia po drodze:

— Czyście nie spotkali Francis? Gdzie mi się chłopak mógł podziać.

Wreszcie po długim poszukiwaniu dowiedział się od jakiegoś dziecka, że Francis wyjechał rano jeszcze konno, drogą prowadzącą do sąsiedniego miasta Great Limmerick.

Usłyszawszy to, popędził Bill do domu i wpadł prosto do stajni.

Rzeczywiście nie było drugiego konia!

Z jękiem zawlókł się Bill do pokoju i padł na pluszowy fotel, który niedawno dopiero dla swego chłopca sprowadził.

Zakrył twarz rękoma i zadumał się.

Co się dziewczynie mogło stać? Dlaczego uciekła bez słowa pożegnania?

Przypomniał mu się pocałunek, który mu dziś rano dała i zaczął płakać i szlochać, jak małe dziecko!

O ile więcej byłby jeszcze płakał, gdyby wiedział, że Francis odjechała z zamiarem zemsty!

ROZDZIAŁ CCXCVI.

Trzymajcie złodzieja

Opowiedzieliśmy już czytelnikom, jak świetnie bawił się Sambo w New-Yorku, nie spuszczając przytem z oka Tulliwera i Wakera, których skarby nieprzeparcie go nęciły.

Ci ostatni jednak zdawali się przeczuwać jego zamiary i szczelnie się zawsze zamykali.

Brzęk złota, który nieraz dochodził do ucha Samba wśród cichej nocy z sąsiedniego pokoju, podniecał jeszcze więcej jego chciwość.

Skradał się wtedy boso do drzwi, które z izdebki jego prowadziły do pokoju byłych galerników i zaglądał do nich przez dziurkę od klucza.

Widok, który mu się tam przedstawił, tak był irytujący, że Sambo z trudem tylko mógł się powstrzymać od okrzyku zazdrości.

Raz tylko wymknął się z ust jego cichy jęk, który nie uszedł baczności Tulliwera.

Przybiegłszy jednym susem do drzwi, otworzył je raptownie i nim się Sambo spostrzegł, chwycił go Tulliwer za kołnierz i zaczął nim trząść.

— Czego nas podglądasz ,łotrze? — krzyknął Tulliwer gniewnie.

— Jestem tu tak samo gościem jak pan — bronił się Sambo i wracałem z restauracji do swego pokoju, aby się położyć.

— Tak nieubrany i bosy? — drwił Tulliwer, gdyż Sambo był rzeczywiście w nocnym stroju.

— Niech mnie pan puści — lamentował Murzyn — Sambo panu nic nie zrobił. Sambo jest wierny, rzetelny i pracowity. Puść mnie pan, bo inaczej na głos będę krzyczał: Ogień!

— Jak ty będziesz krzyczał, to krzykniemy: Złodziej! i zobaczymy, kto lepiej na tym wyjdzie.

— Sambo nic nie ukradł — lamentował Murzyn dalej — Sambo pana zaskarży za pobicie i gwałt!

— Jeżeli mnie chcesz skarżyć, to przynajmniej miej za co — zadrwił Tulliwer i uderzył Murzyna kilka razy w twarz.

Sambo zaczął głośno wyć i pobudził krzykiem swym gości hotelowych, którzy powybiegali przestraszeni w negliżu na korytarz.

— Co on złego zrobił? — pytali oni Tulliwera zaciekawieni.

— Kraść chciał ten przebiegły Murzyn! — odparł Tulliwer bezczelnie.

Waker przypatrywał się milcząc całej tej scenie.

— Kłamstwo! — wrzeszczał Murzyn — Sambo nic nie ukradł!

— Kłamiesz, czarny psie — wściekał się Tulliwer — poczekaj! Dam ja ci za to!

Potem kopnął go i krzyknął: Marsz łotrze!

Sambo nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć i skoczywszy do swej izdebki, zamknął drzwi na zasuwkę.

Potem zaczął nacierać obite części ciała i kląć Tulliwera na czym świat stoi.

— Poczekajcie — mruknął przez zęby, zaciskając pięści — teraz dopiero Sambo skradnie wam wasze pieniądze, a wy zdechniecie z głodu i nędzy! Żebrać będziecie! I dobrze wam się tak stanie, wy białe diabły!

Potem położył się do łóżka i okrywszy się ciepło, zaczął przemyśliwać nad tym, jakby plan swój wykonać i jak najprędzej pieniądze Wakera i Tulliwera sobie przywłaszczyć.

W tym samym czasie szepnął Tulliwer do Wakera:

— Trzeba podejść tego Murzyna, on chce nas okraść!

— To on już dawno chciał — odparł Waker spokojnie — dlatego musimy się mieć na baczności.

— Udajmy teraz przez kilka dni, że na niego wcale nie zwracamy uwagi — rzekł Tulliwer, zwabimy go tym podstępem do sieci!

— Nie warto się nad nim tak długo namyślać — odparł Waker znudzony.

— Nie, on nie śmie wyjść cało! — upierał się Tulliwer.

I rzeczywiście, w ciągu czterech następnych dni zdawali się nie zwracać wcale uwagi na Murzyna.

Wieczorem, czwartego dnia, stał Sambo w szynkowni Biedermanna i popijał swobodnie rum.

Tulliwer zwróciwszy się do pani Biedermann, rzekł umyślnie na głos:

— Dziś wieczorem idę ze swoim przyjacielem do teatru, a później jeszcze z kilkoma znajomymi do kawiarni. Może nie wrócimy wcale na noc. Proszę się nie niepogoić o nas! — dodał żartobliwie.

— O, nie — rzekła pani Biermann — przecież rachunek panów zapłacony do końca tygodnia ,a co do panów, to nie jesteście przecież małymi dziećmi, abym się mogła obawiać, że zbłądzicie!

Oczy Samba zabłysły radością.

— Co za wyborna sposobność! — zatriumfował w duchu. — Nie zabiorą przecież wszystkich swych skarbów do teatru i Sambo będzie mógł ich okraść.

— Jeżeli się panowie na dłużej wybierają, to ja mogę wziąć pieniądze panów do przechowania — zaproponowała gospodyni.

— Dziękuję — odparł Tulliwer — ale mamy pieniądze tak schowane, że ich nikt nie znajdzie.

— Jak panowie uważają — odpowiedziała pani Biedermann obojętnie, a Sambo odwrócił się, aby ukryć swój triumfujący uśmiech.

Ciąg dalszy na str. 333.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

LIST DO AMERYKI

Serdecznemu druhowi, p. Józefowi Bronowiczowi w Toledo, O. USA — poświęcam.

Przyjadę do Ameryki w jesieni
„Piłsudskim" co po morzu płynie
i bruzdę zostawia, aż woda się pieni...
przyjadę, nim rok ten przeminie.
Wtedy siądziemy tam społem
przed domem na Waszej werandzie,
siądziemy tam wszyscy dokoła za stołem,
jak gdyby na uczcie lub radzie.
Rozwiodę przed Wami cud-baśni czarowne,
dalekie, kochane i swojskie,
powskrzeszam zniszczone grodziszcza warowne,
z popiołów wygrzebię co polskie.
Powiodę Was wszystkich na pola i lasy,
do wiosek zacisznych wśród wiśni,
przypomnę zarazem, żeśmy to swojacy,
a wtedy i przeszłość się przyśni.
Iwonce opowiem bajeczkę ciekawą
o starej babuni, Czerwonym Kapturku,
a Józia z Helenką zajmę znów zabawą,
jak Kozak ujeżdżał na Turku.
A Wam i Małżonce pozdrowień przyniosę
z dalekiej krainy za wodą
i wtedy na pewno oczy Wam się zroszą
z tęsknoty za dawną swobodą.
A potem pojadę daleko w gościnę,
do miasta Marzenki — Sioux-City
i tam też zabawię czasu odrobinę,
ażeby dopełnić wizyty.
Tak oto planuję: przyjadę w jesieni,
gdy tylko losy mi pomogą,
i skoro nic już się na pewno nie zmieni
w mych planach przed daleką drogą.
Tymczasem Was żegnam: bywajcie mi zdrowi.
Czekajcie cierpliwie jesieni.
I patrzcie na morze, codziennie gotowi,
póki się ocean nie spieni.

Adam Czekalski.

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są: „Szatynka z Ks.", „Miła Cyganka", „Te-Em", „Wandeczka z B.", „Iuvenalis", „Mogilnianka", „Smutna Kazieńka" i „Dziewczę z ludu".

NIESTETY!

„Eł-Ka." Przykro mi niewymownie, że tym razem nie mogłam pójść po linii życzenia Pana, Miły „Eł-ka"! Kiedyś prosiłam o nadesłanie podobnej — w wartość treści i formy literackiej — powieści, pamiętam to i dlatego ucieszyłam się przesyłce. Niestety nie odpowiada nam całość, mimo, że opracowanie jest dobre i założenie wcale głębokie. Może przyśle Pan znowu coś mocniejszego, prężniejszego pod każdym względem.

Z przyjemnością przyjmuję zapowiedź wizyty Pana i myślę, że ta przeczuwana przez Pana „bura" okaże się raczej pogawędką miłą i serdeczną.

Dziękuję w imieniu Wujka Janusza i swoim za pozdrowienia, odwzajemniając je szczerze. Na zakończenie zamieszczam Pana komunikaty: Halo !„Mogilnianko"! Cieszy mnie bardzo, żeście ubawiły się na naszym opłatku. Pozdrowienia przekazałem, a zainteresowani odwzajemniają je z naddatkiem za moim pośrednictwem. Proszę pozdrowić Koleżankę B. C. — Czołem!

NAPISZĘ!

„Sława." No widzisz, Dziecino, że wszystko w życiu zwolna niweluje się i blednie, aby wreszcie minąć — tak było z Twoją urazą do „Krainiaków", a teraz już masz znowu serce dla nich i pragniesz na nowo kontaktu listownego. Myślę też, że Ci się to pięknie uda, bo jesteś sympatyczna, inteligentna i masz gładki styl.

Cieszy mnie, że tak bardzo podobają Ci się powieści w naszym tygodniku — podzielam Twoje zdanie, co do wartości i emocjonalności „Automatu." Jak postąpi Sabina i jak w ogóle rozwinie się dalsza akcja — zobaczysz. Mogę tylko dodać, że Twój „plan działania", nakreślony dla Sabiny, nie mija się z intencją autora. Zresztą o tym sza! Nie trzeba osłabiać i przerywać napięcia — niechże nam śpiewa autor opowieść tę ciekawą i tak silną i jasną i piękną.

Pytasz, czy napiszą „Krainiacy" do Ciebie — myślę, że napiszą, bo ni mniej ni więcej tylko wysłałam Ci dziś list od jednego „Krainiaka"." Co Ty na to? Pamiętają o Tobie po tak długiej przerwie, więc dlaczego zmilczeć mieliby, gdy im się sama przypomnisz?

Co do mnie, to bardzo będę zadowolona, gdy mi częściej nie omieszkasz przysyłać listów o podobnej treści. Lubię, gdy moje pieszczochy roztrząsają zajmujące ich problemy.

Pozdrawiam Cię i zasyłam pogodny uśmiech.

SPEŁNIĘ ŻYCZENIA

„Smutna Ślązaczka." Z taką ogromną przyjemnością czytałam list Pani, że na pewno uśmiechnęłabyś się z zadowolenia, gdybyś to była mogła widzieć i odczuć. Jest Pani naprawdę bardzo miła. Równie uprzejma, jak kochana. Serdecznie myślę o tym, że ewentualnie mogłabym kiedyś Panią spotkać n. p. w mieście tak dużym i skądinąd wcale miłym, jak Katowice, — jednakże w najbliższym czasie to się nie zdarzy. Może kiedyś później!

Oj! A właśnie przyniesiono mi pocztę i ni mniej ni więcej, tylko jest w niej ostatni list Twój, Miła Moja. Jakżeż to się cudownie złożyło — odpowiem Pani zaraz i na niego.

Więc przede wszystkim dziękuję za tę śliczną fotografię. Bardzo, bardzo korzystnie Pani na niej wypadła. Album „Krainy" wzbogaci się o jedno przyzwoite pod każdym względem zdjęcie.

Dalej dziękuję Ci, Kochana, za to maximum serdeczności i zaufania, jakie okazujesz mi zawsze w słowach tkliwych i rzeczywiście mnie przekonywujących. Musisz mieć nieprzebrane skarby niewyżytego uczucia, skoro posługujesz się nim tak hojnie w stosunku do mnie. Nawiasem dodam, że wdzięczna Ci za nie jestem, bo mam taki system w życiu, że zachłannie zbieram wszelkie radości, uczucia — skupiam, ogniskuję je w sobie, aby potem promieniować nimi na moją obszerną „Rodzinkę", która tego potrzebuje.

Zastanowił mnie mocno opis tego Twego wigilijnego snu — doprawdy, że to jest emocjonujące przez dużą zgodność z rzeczywistością. Wprawdzie nie wszystko można podciągnąć pod tamte senne fantazje, ale dużo!

Dziwne — nie uważa Pani?

Naprawdę chciałabym porozmawiać z Panią obszernie na różne tematy, a specjalnie o Pani. Może wówczas to, co boli i zniechęca do życia wydałoby się Pani mniej bolesne i mniej trujące radość i sens tego życia, które jednakże jest wartościowe. Jest zawsze i w każdej formie — proszę mi wierzyć.

Bardzo chętnie spełnię obie Pani prośby. „M. Powieści" przekażę do Truskawca, skoro tylko otrzymam od Pani adres, a życzony model postaram się dać w jednym z najbliższych numerów do „Raju Kobiet."

Jeżeli któraś, czy któryś z „Krainiaków" uległ złudzeniu, że „Smutna Ślązaczka" zmieniła pseudo na „Wesoła Ślązaczke" i jest tym samym jedną i tą samą osobą, to muszę wyjaśnić, że tak nie jest. Są to dwie różne osoby pod nieco podobnymi pseudonimami, żyjące w „Krainie."

„Anetka III", Kochana, wybacz — byłam chora. Mocno całuję buzię.

„Starsza Smutna Ela". Bardzo Pani współczuję i pozdrawiam serdecznie.

„Wesoła Ślązaczko"! Kontraście mój — proszę, ukaż buzię w „Krainie."

„Maleńkiej Dzidzi", „Nelli", „Jagience" — ślę siostrzane pozdrowienia. „Dzidzi" — czy dobrze bawisz się w Wiśle? Również pozdrowienia dla „Sentymentalnej Lusienki", „Modrookiej Geri" i „Brzydkiej Lei" oraz całej „Krainki."

Za życzenia świąteczne dziękuję Pani bardzo serdecznie i zasyłam przyjacielskie pozdrowienia!

CZY JESTEŚ ZADOWOLONA?

„Alpejski Fiołek". No tak, sprawa zamiany Twego dawnego pseudonimu na obecny już się dawno rozstrzygnęła. Teraz jesteś „Alpejskim Fiołkiem" i czy jesteś z tego zadowolona? Mało mam miejsca, więc tylko przepiszę jeszcze Twoje komunikaty — a jest ich sporo. Więc bywaj mi na razie!

„P. J. Płóciennik" — dziękuję za wierszyk p. t. „Przyjaźń" — nie jest on specjalnie napisany dla mnie, ale ponieważ jest w nim wyrażona moja dola, przeto raz jeszcze dziękuję! A może będzie Pan łaskaw poświęcić mi kiedyś choć maleńki utworek?

Panie J. Baranowski, proszę przyjąć moje gorące uznanie za pańskie prześliczne wiersze. Chciałabym posiadać taki talent. Wierszyk P. p. t. „Moje Powieści" taki jest kochany!

„Bławatku" — dziękuję za pamięć i komunikaty Ci, że mieszkamy niedaleko od siebie. Jeśli zechcesz, możemy się poznać. Napisz do mnie!

„Reniu z Kolna" — chętnie spełnię Twoje życzenie i list napiszę, lecz obecnie nie mam wolnych chwil, ale się znajdą.

„Stokrotko" — Kochanie, czekaj cierpliwie, a napiszę.

„Zbijobruku poznański" — ściskam łapki!

„Przybłędo Leśny" — napisz do mnie, może korespondencja przyniesie nam zadowolenie.

„Rudi" — pozdrawiam serdecznie. Chciałabym znać Twój adres.

Pozdrowienia ślę dla „Kresowiaka z Leszna", „Ali — Ala", „Ar", „Oriona" i wszystkich, wszystkich kochanych „Krainiaków"!

STAWIAM VETO!

„Dyktator". Widzę po ostatnim liście, że dotrzymuje Pan słowa, bo zaczynasz pisać częste listy.

Cieszę się, że tak się przywiązałeś do „Moich Powieści". Ale jednemu się dziwię, mianowicie temu, że masz taką ogromną awersję do kobiet — i dlaczego to nie wierzysz ich „złotym słówkom", czyżby sprawiły Ci już tyle zawodu i rozczarowań, że w żaden sposób nie potrafisz już nabrać do nich zaufania? To niedobrze! Przecież sam równocześnie dochodzisz do wniosku, że prawdopodobnie dlatego jest Ci tak źle na świecie. Może postarasz się mniej ponuro spojrzeć na te sprawy — myślę, że to nie popsuje Twoich zasad życiowych, a dobrze Ci zrobi na humor.

Dziwnie wziąłeś sprawę zewnętrznej szaty „Moich Powieści" w porównaniu z „Moją Przyjaciółką", piszesz mianowicie, że pewnie dlatego „Moja Przyjaciółka" wzięła monopol na kolorowe okładki i w ogóle barwę, iż jest redagowana dla kobiet, które z zasady lubią piękno i same są piękne. Czy nie kryje się w tym orzeczeniu trochę złośliwości? Powiedzno, mój miły „Dyktatorze"?

Ja mam do Ciebie jedną prośbę, mianowicie tę, ażebyś w następnym liście zechciał mi zdradzić swój poprzedni pseudonim, bo dalibóg nie przypominam go sobie!

A teraz odpowiedź na ostatni list Pana! Otóż list Twój wysłałam pod właściwy adres i sądzę, że doszedł do rąk przeznaczonych, co nie przeszkadza oczywiście, że zainteresowana osoba przemilczy go z tej, czy innej racji. Nie ma wszak u nas przymusu odpowiadania na otrzymane listy.

Co zaś do proponowanego nadania barwy politycznej „Krainie", to stawiam stanowcze veto. „Kraina" nie będzie nigdy ujawniała tendencyj politycznych, bo utraciłaby swój specyficzny, swoisty styl, a tym samym urok jaki ma dla nas, członków i obywateli. Czy nie tak — Drodzy „Krainiacy"?! Zaś ze spokojem mogę zapewnić Cię, że nie grozi Ci ewentualność korespondowania z Żydówką, bo, o ile mi wiadomo, nie ma takiej w naszej „Rodzince". Czy Ci to wystarczy?

Za życzenia wielkanocne dziękuję serdecznie w swoim i wszystkich imieniu i zasyłam Ci pozdrowienia!

„Czołem, „Biała Uajali"! Jestem miłośnikiem hodowli pszczół, jeżeli spotkam się z Pani aprobatą, napiszę do Niej.

„Aloha“ — czy nie otrzymała Pani mego listu?

„Przedwiośnie“. Zmień Pani pseudonim, bo nigdy nie będzie prawdziwej wiosny!...

Zasyłam pozdrowienia „Roześmianej Izabelli“, „Blance“. „Samotnej duszy“ — czy naprawdę jest Pani taka samotna? — i wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“! Czołem!!!

WESOŁA PIOSENKA...

Wesoła piosenka dlatego,
że twoim imieniem ją śpiewa
wiatr polny, rozszumiony
w przydrożnych drzewach.

Wesoła piosenka dlatego,
że dzwonią w niej twe uśmiechy...
co napływają w me serce
przestrzennym echem—

Że ty sama śpiewasz piosenkę
najprostszą i najszczerszą,
wesoła piosenka dlatego,
że barwnym wiążesz ją wierszem..

Słyszysz jak dzwoni na wietrze,
słyszysz — jak szumi po lesie
jak z sobą pamięć najdroższych
słów twoich niesie?

Jak pluszcze łąkowym strumieniem
i płynie już coraz dalej —
pod wschód rozpłomieniony
słoneczną falą. —

Wesoła piosenka dlatego,
że śpiewam ją sam dla siebie,
wesoła piosenka dlatego,
że jest pisaną dla ciebie.

Józef Baranowski.

BYWAJ MI!

„Tartuk“. Bardzo to ładnie z pana strony, że że wziąłeś sobie do serca moją uwagę i postarałeś się poprawić, wysyłając dłuższy list, na który odpisuję niniejszym. Nawiasem dodaję, że jest on jeszcze ze stycznia.

Nie podaję Panu adresu „Stelli Maris“, bo cóż to już teraz pomoże?!

Natomiast na pytanie o p. Steni odpowiadom, że pracuje i serdecznie odwzajemnia Pana pozdrowienia!

Na razie kończę rozmowę z Panem, lecz mam tę silną nadzieję, że niedługo otrzymam znowu miły list. Więc bywaj mi zdrów i wesół, Przyjacielu!

SKORZYSTAŁAM

„Królowa Gizella“. Dobrze uczyniłaś, przysyłając mnie te zdania — skorzystałam z nich w części. Zauważyłaś? Naturalnie, że każdemu wolno przysyłać zadania do „Chwili zastanowienia“, byle były one dobre!

Napisz mi, proszę, czy ta osoba koresponduje już teraz pilniej i czy zadowolona jesteś z tego? Ostatnimi czasy nie miałam słowa od Ciebie, tak, że straciłam dawną świetną orientację, dotyczącą Twoich spraw.

Życzę Ci powodzenia i radości moc.

PROSI O SYMPATIĘ I PAMIĘĆ

„Sokół“. Przyjmuję Pana do „Krainy“ i życzę, aby się Pan szybko zaaklimatyzował w naszym gronie.

„Sokół“ jest wielkim entuzjastą sportu i jeszcze większym wycieczek. Uprawia wycieczki piesze, rowerowe, pociągami, słowem czyni wszystko, co rozprasza samotność i nudę. Jest pracownikiem fizycznym i z takimiż „Krainiakami“ pragnie nawiązać kontakt korespondencyjny. Najchętniej widziałby osoby z Pomorza lub Poznańskiego, bo sam jest, jak pisze, Wielkopolaninem z krwi i kości.

Prosi bardzo o sympatię i pamięć i pozdrawia całą „Krainę“!

CZEKAM!

„Paganini z Pałuk“. Co z Tobą, Chłopcze? Dawno już chyba nie miałam listu od Ciebie, to znaczy takiego prawdziwego, długiego listu, bo na taki krótki, to właśnie odpowiadam. Zatem popraw się — czekam!

DAŁAM W FORMIE SKRÓCONEJ

„Starsza, Smutna Ela.“ List Pani otrzymałam i dopiero teraz dałam to ogłoszenie, niestety, w formie skróconej, gdyż nie można było inaczej. Czy ogłoszenie przyniesie Pani oczekiwane rezultaty, nie wiem, bo obecnie trudno o takie zajęcia. W każdym razie życzę Pani tego z serca i sądzę, że się dowiem, jak będzie. Na razie pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i posyłam przyjacielski uśmiech.

HALO, HALO!...

„Młody Orzeł“. Podaje nam do wiadomości ten nasz młody przyjaciel, że jest na kursie instruktorów szybowcowych, skąd szybko przyśle nam obszerny list, na na razie woła nam krótkie, silne: „Czołem!“

BARDZO NAM MIŁO!

„Rewelers“. Cieszy mnie niewymownie, że tak gorliwie czytasz i studiujesz „Krainę.“ Więc marynarze z „Daru Pomorza“ przesyłają całej naszej „Rodzince“ serdeczności? Bardzo nam miło i proszę im przy okazji wyrazić naszą sympatię, tudzież odwzajemnione pozdrowienia.

A Pan przesyła specjalne pozdrowienia dla „Bajki“, „Bogdy“, „Wisi“, „Czarodziejki“ oraz „Amazonki“ i „Wieszczki Kwiatów“, a ponadto dla całej „Krainy“.

PISZ CZĘSTO!

„Księżniczka Lina.“ Nie, Kochanie, nie wiem, aby była w „Krainie“ — „Królewna Lina“ — jeżeli, to najwyżej zaszła pomyłka.

Czy byłam w górach? Owszem, i bardzo góry kocham. Tak myślę, że przy sposobności znowu im oddam pozdrowienie i złożę hołd. Ucz się Kochanie i pisz mi często.

„Halo! Panu Tadeuszowi Rawickiemu bardzo dziękuję za wierszyk. A teraz — czy wolno prosić o liścik? Czekam!

„Samotna Włościanko,“ tymczasem ślę Ci miłe pozdrowienia z tatrzańskich gór.“

MOC SERDECZNOŚCI DLA CIEBIE!

„Fenia z nad jezior.“ Mam Twój list ze stycznia i czuję, że absolutnie, ale to absolutnie nie jest już aktualny, dlatego to nie będę też nań odpowiadała, a tylko zaślę Ci moc serdeczności i zamieszczę komunikaty:

„Posyłam uśmiechy wesołe całej „Rodzince“, a specjalnie p. Baranowskiemu, „Wiarus-Murzynkowi“ i „Wytwornemu Łazikowi“. Może któryś z wymienionych napisze do mnie?

Teczka Wujka Janusza

A GDY UMRĘ...

A gdy umrę, a gdy umrę,
nic nie trzeba mi,
ani kwiatów na mą trumnę,
ani czyjej łzy.

Tylko mi od ciebie trzeba,
grudkę ziemi tej
i skraweczek mały nieba,
z nad chateńki mej.

A gdy umrę, a gdy umrę,
nic nie trzeba mi,
ani kwiatów na mą trumnę,
ani czyjej łzy.

Ani kwiatów, ni piosenki,
ani wieńców róż,
tylko ty mi do trumienki

jedno słówko włóż.
Jedno słówko, o mój miły,
nim pożegnasz mnie,
szepnij cicho w głąb mogiły,
że kochałeś mnie...

Irena Strzemię - Pieczkowska.

W ODPOWIEDZI NA POCZTÓWKĘ

„Czarodziejka.“ Śliczna pocztówka Pani ucieszyła mnie bardzo, a rozbawiły wiadomości w niej zawarte. Tak, Droga „Czarodziejko“, Wujek Janusz, to sprytna sztuka i nigdy w pole wyprowadzić się nie pozwoli!... Łączę dużo dobrych słów i uścisk dłoni!

PRZYJACIÓŁCE „STELLI MARIS“ W ODPOWIEDZI

„Bajka“. Treść listu Pani wzruszyła mnie głęboko i przywołała na pamięć obraz Tej, która tyle dobrych wspomnień wśród nas zostawiła. Droga „Bajko“! Nie mogła sobie „Stellą Maris“ poszukać lepszej przyjaciółki, jak właśnie Ciebie. Usposobienia Wasze są bardzo zbliżone do siebie i dlatego to obopólne wielkie zrozumienie i ten Twój żal obecny po niepowetowanej stracie.

Ślę Ci dobry uśmiech, „Bajko“ i niżej zamieszczam Twoje komunikaty:

„Bursztynowe Serduszko“! Tulę Cię, Kochanie, za te modlitwy słane do Boga... za poczciwą i szlachetną duszyczkę śp. „Stelli-Maris“. Zapytujesz czy łączyła mnie z Nią nić przyjaźni? — a więc bardzo szczera i serdeczna! „Stella“ była uosobieniem piękna, dobra i prawdy. Nieubłagana śmierć, zabierając nam Ją z szeregów „Krainy“, pozostawiła na pewno w sercach wszystkich Sympatyczek i Sympatyków głęboki żal i wdzięczne wspomnienie. Cześć Jej pamięci!

Panu A. Czekalskiemu za piękny wierszyk „Odeszłaś...“ — ściskam mocno i serdecznie dłoń, a również i za wszystkie dobre i serdeczne słowa wyrażone w miłym wierszyku — „Moim Sympatyczkom.“

NA DŁUGO...

„Królewna Bałtyku.“ Najmilsze słowa Pani długo pozostaną w mej pamięci. Ma Pani rację, zawsze mówię każdemu prawdę, chociaż ta prawda jest nieraz niemiła i trochę boli. Nie mogę jednak na to ostatnie zważać, gdyż inaczej grafomaństwo przybrałoby zastraszające rozmiary.

Bardzo serdecznie dziękuję Pani za sympatyczne zakończenie listu Pani i czekam na nowe wierszyki, bo — „Wiosna nadchodzi“ — wypadł wprawdzie miło, ale posiada kilka dość poważnych niedociągnięć.

ZA WSZYSTKO!...

„Takiemu Jednemu“ — w dowód serdecznej przyjaźni.

Za przyjaźń Twą, za duszy mej zrozumienie,
Za piękne uczuć Twoich kwiaty —
Za serce Twe, które szczerze kochać umie,
Za przecudownych naszych marzeń światy.

Ślę Tobie dziś — pamięci wiernej echa —
Słów najcieplejszych moc, co niby słońce lśnią,
Co w oczach mych łzą rozczulenia drżą...

Tak chciałbym dziś, ująć Twoje dłonie,
Uścisnąć je i szepnąć Ci życzeń moc,
Że... w sercu mym ku Tobie miłość zapłonie,
Przy Tobie zniknie smutku czarna noc...

Z oddali płynie mej przyjaźni zew,
Przecudny hymn — przesłodki jasny śpiew
„Ot znowu się szczęście do mnie uśmiecha!“

Niech spłynie do Twej duszy przeogromna radość,
Niech opromieni Twe przesmutne oczy,
Niech cichym Twym marzeniom los uczyni zadość
By zakwitł w czyimś sercu miłości kwiat uroczy.

Z oddali płynie mej pamięci zew,
Słów najcieplejszych moc, co niby słońce lśnią,
Co w oczach mych łzą rozczulenia drżą!...

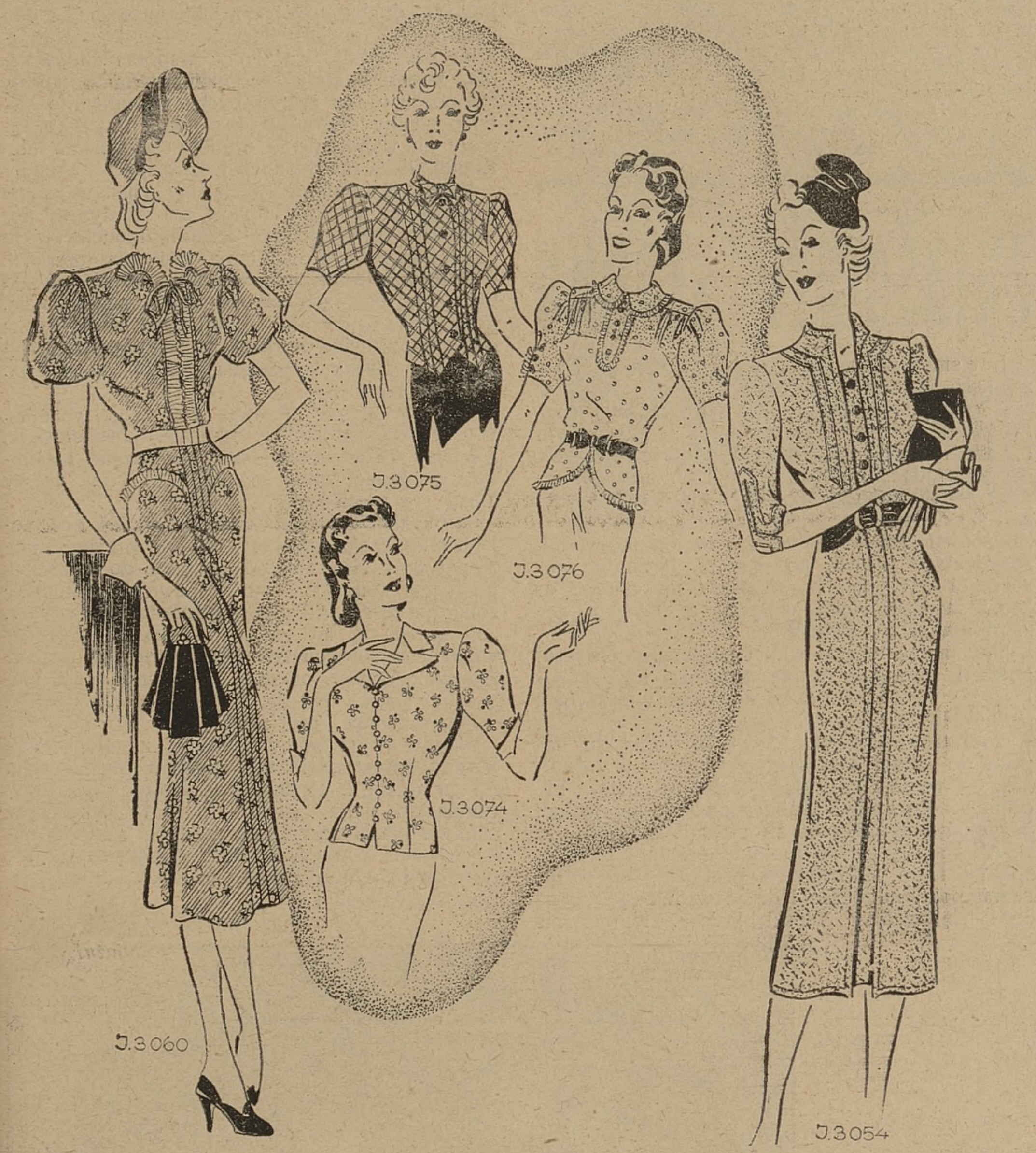
„Biała Uajali“.

NIE ZMOGŁA MNIE...

Nie zmogła mnie pustka w sercu żrąca,
Ni zapasy z życiem odwieczne —
Zmogła mnie tęsknota gorąca
I kochanie wielkie, serdeczne,
Nie zmogły mnie wichry — burze
Ni przeszkody, ni przeciwności
— Zmógł mnie on — niby kuty w marmurze
Twarz młodzieńca, blada z miłości!
Nie zdołały obudzić mnie bierną,
Ani słowa, ani sidła zdradne —
Obudziły mnie oczy te wierne
I ten uśmiech taki niezaradny.
I za każdym krokiem to spojrzenie;
I ten zachwyt w oczach niekłamany
Prąd miłości żywy, nieustanny
Drżenie, trwoga, żar i upojenie.
I odruchy takie żywiołowe
I pytania spojrzeń niespodziane
— Wszystko młode, radosne i nowe,
Czarem wiosny i pragnień owiane.

Maria Szczęsnowiczowa.

Raj kobiet



I 30 60. Sukienka z jedwabnego marocain, ło czarne, deseń barwny. Ozdoby z plisowanych ryszek.

I 30 75. Śliczna bluzeczka z materiału do prania, w kratę; guziki w kontrastowym kolorze.

I 30 76. Na herbatkę nadaje się tu miła bluzka z lekkiego jedwabiu.

I 30 74. Z cieniutkiego lnu w deseń wykonać można tę bluzką, zapinaną z przodu na guziki.

I 30 54. Ta elegancka wiosenna suknia z wełnianianej georgette'y ozdobiona jest stebnowaniem.

Bądźmy naturalne i pogodne!

Dbamy o nasz wygląd — o piękność, elegancję — potrafimy studiować godzinami błysk oczu, gest ręki, zalotność uśmiechu itp. Nasz wygląd zewnętrzny absorbuje nas bez reszty! Ale wglądnijmy w siebie. Jesteśmy różne pod względem usposobienia, zachowania — zgoda! To zasługa matki natury, mimo, iż tę różnorodność każe ona nieraz drogo okupić przy próbach zżycia się z ludźmi. A nam przecież tak zależy — aby współżycie na tym padole płaczu i chronicznego braku pieniędzy (jak go określił jeden z humorystów) było bardziej harmonijne i kulturalne, no i możliwie pogodne.

Zycie w czasach obecnych nastręcza tyle trudności, że nie można dodawać zła do zła — i zasklepiać się w kręgu swoich kłopotów, a współżycie z otaczającym nas środowiskiem — traktować jak niewygodną konieczność, której unikamy wedle możności. Przyciśnięci zaś do muru, ograniczamy się do kilku suchych uwag bez odrobiny życzliwości, szybując równocześnie myślami do natłoku czekających nas obowiązków. Zastanówmy się jednak, czy już tak być musi? Komu jak komu, ale już nam, kobietom, wprost nie wolno przejść do porządku dziennego nad tym stanem rzeczy. Bowiem w tej dziedzinie dziewięćdziesiąt procent wpływu mamy my i tylko my! A więc jakie musimy być, aby te stosunki uleczyć? Bądźmy naturalne i pogodne!

Nie ma cechy bardziej w kobiecie pociągającej, jak naturalność. Poza potrafi najpiękniejszą kobietę zeszpecić nie do poznania. Sztuczną może być tylko kobieta zepsuta, która wie o swojej piękności, podkreśla ją na każdym kroku i zbiera obojętnie hołdy, sprawiając niemiłe wrażenie udatnej księżnej bez majątków. Tak! Ocieramy się o takie typy nazbyt często! Jest to jednak wada, której żadnej kobiecie darować nie można. My wiemy, czego żądamy od stuprocentowej kobiety: musi być ona rozumna, dowcipna, elegancka, naturalna i pogodna. Oczywiście, nie obędzie się bez odrobiny choćby próżności i zalotności, ale to są przywary miłe częstokroć i pociągające Szczególnie, jeżeli chodzi o płeć silną, która na te rzeczy jest bardzo czuła.

Jeżeli piękna suknia podnosi wdzięk ciała kobiecego, dodając mu dużo uroku, to z całą pewnością prostota i naturalność, odzwierciadlające się na twarzy — są najlepszym tłem do uwidocznienia jej swoistego czaru. Obserwujmy typy na każdym kroku, na ulicy, w tramwaju czy pociągu, czy też na terenie życia domowego. Niemile rzuci się nam w oczy kobieta, udrapowana we frapującą pozę, pozwalająca podziwiać się z daleka, która uważa otoczenie za pospolitość, niewartą spojrzenia i uwagi. Mrozi nas i krępuje każdy ruch, wystudiowany i obliczony na efekt. Dziwna niechęć ogarnia nas — ale — stop! Bo nagle ożywia się nasz wzrok, gdy padnie na tę, której szukamy właśnie! Poznamy ją po naturalnych, może mniej efektownych, ale pełnych prostoty ruchach, po jasnej, pogodnej twarzy — bez cienia wyższości, czy pogardy dla szarego tłumu. Oto zaciekawi ją ten lub ów szczegół, z naturalnym wdziękiem potrafi zamienić z każdym parę ciepłych słów, nie ominie z wyniosłą miną tych, którzy przygnębieni niepowodzeniami czekają na bodaj spojrzenie przyjazne. Zaiste! Gdyby swoboda i naturalność towarzyszyły nam, miłe panie, potrafiłybyśmy nieraz przełamać lody, w które uzbraja serca nieśmiałość, czyniąc je nieufnymi. Rzadko bowiem kiedy zawodzi intuicja kobieca, a gdy przyjdzie jej z pomocą pełna prostoty i naturalności uprzejmość — nie jedno zło usuniemy!

A pogoda ducha? Wyrabiajmy ją w sobie! Abstrahując od tego, że wesołość wpływa dodatnio na organizm — działa ona ożywczo na otoczenie. A kto, jeżeli nie kobiety, nastrajają je na swój ton? Gdy rozglądniemy się krytycznie, zauważymy dokoła tylu ludzi zgorzkniałych, przytłoczonych złymi kolejami losu, tylu „śledzienników", którzy najpiękniejsze przejawy życia zaopatrują w etykietkę z „trupią główką". Znaną jest rzeczą, że człowiek, na kształt czułej płyty gramofonowej, wyłania z otoczenia nastroje i nasiąka nimi. Biada więc, jeżeli nie zjawi się w odpowiedniej chwili pogodna kobiecość, która potrafi przeciwdziałać szkodliwym wpływom! A będzie ona przyjęta z westchnieniem ulgi — i rozbłyśnie na kształt płomyka w przygniatającej ciemności. Ale — chcąc innych uzdrawiać — zacznijmy od siebie. Starajmy się nie przemyśliwać nad niepowodzeniami, nie analizujmy rzeczy przykrych, nie rozrywajmy świeżych ran. Życie jest takie krótkie i posiada tyle pięknych stron, że rozejrzyjmy się tylko, a stroskane twarze rozjaśnieją się zaraz! W każdej rzeczy, w każdym przejawie życia, starajmy się, o ile możności, dopatrywać stron dodatnich, a zauważymy, nierzadko ze zdziwieniem, że nie jest to żadna sztuka. Dopatrywanie się tylko zła przygnębia nas i nastraja nieprzychylnie do życia. Gdy uzbroimy się jednak w pryzmat pogodnej wyrozumiałości, świat objawi się nam w nowych szatach — i wtedy przystąpmy do dzieła! Nic nie naraża tak, jak wesołość i pogoda! Od razu jaśniej robi się na duszy i człowiek machnie nieraz ręką nad sprawami, które wydawały się beznadziejnymi, a teraz pod wpływem pogody otoczenia stają się dla nas mniej zawiłe — i o dziwo! znajduje się droga wyjścia! Nieśmy więc tę pogodę ducha wypisaną na twarzy, dzielmy się nią hojnie z tymi, którzy tej mądrości życia nie mają. Szafujmy tymi ciepłymi uśmiechami, jak dobre wróżki, a nie jedno serce wdzięcznie nam odpowie — gdy dodamy do tego prostotę i naturalność — zwyciężymy świat!

Irena Korelska.

Czy wiecie, że...

Ogólna długość szos w Stanach Zjednoczonych równa się jednej trzeciej części ogólnej długości szos na całym świecie. Stany Zjednoczone mają 3.065.000 mil szos długości światowej sieci szos równa się — 9.687.000 mil.

Co do liczby samochodów to Stany Zjednoczone pochlubić się mogą posiadaniem dwóch trzecich ogólnej liczby samochodów 40.549 samochodów na świecie, — 28.520.000 w Stanach Zjednoczonych.

—o—

Jak ze Stambułu donosi prasa, do urzędnika stanu cywilnegogo w Izmir (Smyrna) zgłosił się pewien Jugosłowianin w wieku 106 lat, pragnący zawrzeć związek małżeński z 43-letnią Włoszką.

—o—

W Karlsbadzie przeszło 200 znanych domów kuracyjnych, hoteli i pensjonatów znajduje się pod zarządem przymusowym. W 1937 r. przeprowadzono w Karlsbadzie 12 tys. egzekucyj.

—o—

Wszelkiego rodzaju reklamę najwięcej czytają kobiety. — Studia angielskiego psychologa Moresa wykazują, że: 1. Kobiety czytają gazety z nadzwyczajną pilnością i uwagą. 2. Obok powieści ogłoszenie przedstawia dla kobiety najbardziej interesującą część gazety. 3. Na podstawie ogłoszeń w gazecie kobiety robią wszystkie zakupy dla całego domu. 4. Z ogłoszeń prasowych kobiety dowiadują się o nowych towarach i nabywają je. Firmy ogłaszające się w gazetach stale, utrwalają się, w pamięci kobiet i stają się im tak dobrze znane, jak gdyby od szeregu lat robiły w tych firmach zakupy.

—o—

W Dębicy pod pod Rzeszowem powstaje obecnie fabryka kauczuku, tego surowca, tak bardzo poszukiwanego przez nowoczesny przemysł, zwłaszcza w państwach jak Polska, nie posiadających kolonii.

Podnieść należy, że frekwencja syntetycznego kauczuku ze spirytusu jest wynalazkiem chemików polskich. Fabryka będzie zatem uruchomiona bez specjalistów zagranicznych, wyłącznie z materiałów i maszyn wyrobu krajowego.

Fabrykacja syntetycznego kauczuku wzmoże techniczne zużycie spirytusu, a tem samem podniesie zbyt surowców rolnych naszej wsi, w szczególności zaś wzrośnie zapotrzebowanie na żyto, względnie ziemniaki, z których pędzi się spirytus.

Ze świata

Jąkały nie umieją się jąkać

Jąkały to partacze, nie umieją prawidłowo się jąkać. Tak orzekł profesor Herbert Keop-Baker ze stanu Pensylwania, specjalista w tej dziedzinie, który stwierdził, że dobrze jąka się tylko ktoś, kto nie jest jąkałą. Profesor otwiera w najbliższym czasie kurs prawidłowego jąkania się. Na kurs ten przyjmowani będą, w myśl prospektu, jąkały, którzy chcą pozbyć się tej wady. Metoda nauki jest prosta, profesor uczy jąkałów prawidłowego jąkania się. Nie jest to tak łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Nikt trudniej nie uczy się prawidłowego jąkania jak jąkały.

Z chwilą, gdy jąkała nauczył się prawidłowo jąkać, przestał być jąkałą, gdyż jak twierdzi profesor, jąkać się prawidłowo umie tylko ten, kto nie jest jąkałą. Jasne.

Mała swatka

Panna Marcelina N., 18-letnia Paryżanka, po śmierci rodziców została na świecie z 8-letnią siostrzyczką. Otrzymała miejsce sprzedawczyni w jednym z wielkich magazynów i w ten sposób zarabiała na życie dla siostry i dla siebie.

Kiedyś, zrywając się rano, powiedziała żartem:

— Gdybym spotkała bogatego człowieka, którego bym pokochała, byłoby nam dużo lepiej.

Te słowa zapamiętała mała siostrzyczka i wpadła na pomysł następujący.

Otrzymawszy od siostry wielki balon, przyczepiła doń karteczkę, na której swym dziecinnym pismem napisała:

„Moja siostra Marcelina jest dobra i ładna. Chce wyjść za bogatego człowieka, jeżeli go pokocha, a pracuje w sklepie XX."

Balon został puszczony w powietrze. Traf chciał, że padł na placu Concorde u nóg bogatego armatora z Marsylii. Ten uznał to za wskazówkę losu, ponieważ był nieżonaty. Poznał się z Marceliną N., a że mu się podobała, więc ożenił się z nią.

„Żelazne płuca"

Nazwa ta wypłynęła po raz pierwszy na szpalty dzienników w związku z podaną przez prasę amerykańską wiadomością o przetransportowaniu z Szanghaju do Ameryki syna pewnego milionera, złożonego ciężką chorobą. Młodzieniec ów zapadł na paraliż dziecięcy, tak zwaną chorobę Heine Medina, która sparaliżowała mu mięśnie, regulujące proces oddychania. Choremu groziła śmierć przez uduszenie. Wtedy zastosowano wynalazek pewnego inżyniera amerykańskiego, t. zw. „płuca pneumatyczne." Aparat ten, kształtem zewnętrznym przypominający kocioł parowy, nazwano także „żelaznymi płucami." Istota jego działania polega na tym, że przy pomocy pneumatycznej pompy zmienia się w rytmicznych odstępach czasu ciśnienia powietrza wewnątrz kotła. Ciało chorego, który po szyję zamknięty jest w aparacie, poddaje się wpływom zmiennego ciśnienia i sparaliżowana muskulatura, która w normalnych warunkach uniemożliwiała oddychanie, zaczyna działać niezależnie od istniejących hamulców. Chory może dzięki temu wynalazkowi przedłużyć swe życie. „Pneumatyczne płuca" nie przyniosły jeszcze żadnemu z chorych całkowitego wyzdrowienia, pozwoliły im jednak trwać przy życiu z nadzieją, że może z czasem stan chorobowy minie i powrócą normalne warunki, w których chory będzie mógł istnieć bez skomplikowanej maszyny, skazującej go na długoletnią wegetację w pozycji leżącej.

Zmienna kolej rzeczy

Niebywały wypadek kariery służącego uniwersytetu wydarzył się w Pittsburgu w Ameryce. Murzyn Edward Leo Herriss był właśnie zajęty zamiataniem jednej z sal, jako stale zaangaożwany służący uniwersytecki, gdy nagle zaskoczył go jeden z jego kolegów radosną wiadomością: Harriss otrzymał mianowicie nominację na profesora uniwersytetu!

Nie była to bynajmniej ani pomyłka, ani pomieszanie nazwisk, lecz fakt rzeczywisty. Ambitny murzyn jest samoukiem, a jako służący uniwersytecki korzystał z wykładów. Będąc zdolnym i pracowitym, uczył się po nocach i zdał egzaminy, a nawet otrzymał tytuł doktora na podstawie naukowej rozprawy filozoficznej, którą przedłożył czynnikom kompetentnym.

Praca Harrissa wywołała taką sensację w świecie naukowym, że otrzymał nominację na profesora uniwersytetu w Wilberforce.

Zajaśniało słonko

Jest smutny, zamglony dzień wiosenny. Szare zwaliska chmur nisko płyną doliną, którą w malowniczych skrętach przecina wezbrany nurt rzeczki. Z udanego polowania, z nieodstępnym towarzyszem Rexem wraca właśnie Zbyszek drogą wiodącą do wsi, w którą rzucił go najeżony przeciwnościami los. I choć wierny pies łasi się do pana, ten jest chmurny i zamyślony. Znużonym wzrokiem wodzi po opustoszałych rozmiękłych polach, po małych, bezładnie porozrzucanych chatach, spogląda na ciemne obłoki kryjące błękit oczyma, z których wyziera apatia i zniechęcenie.

Nie mając odpowiedniej lektury, zazwyczaj spędzał samotnie długie wieczory i tylko żałące się często długo w noc struny skrzypiec — mówiły o duszy Zbycha.

Coprawda wiedziony dziwnym impulsem napisał do jednej z sympatyczek „Krainy" M. P. ale — uśmiechnął się gorzko — i tak nie odpisze! Jeszczeby! Najniespodziewaniej jednak pesymistyczny bieg myśli zmienił się, bo oto przerwała się gruba zasłona chmur i z nieba spłynął snop słonecznych promieni, ożywiając senne pola, migocząc i drżąc w falach ciągnącego się wzdłuż wioski jeziora. Nawet na ustach Zbycha ukazał się tak rzadki u niego uśmiech. Złote, błogosławione promyki!

A po tym druga niespodzianka. W swoim skromnym pokoiku znalazł Zbyszek list! Dobry, kochany list! Przecież on sprawił, że tych dwoje, przeznaczonych dla siebie ludzi odnalazło się w tłumie. List taki szczery, tchnący pogodą ducha, twórczym optymizmem i tym uśmiechem, rozjaśniającym wszystko. Nawiązana korespondencja, dając wspólne zadowolenie, wreszcie stała się nieodzowną potrzebą. Na pozór nic w życiu Zbycha nie zmieniło się, tylko struny dzwoniły inną nutą, a oczy ciemniały na wspomnienie o niej, doniedawna nieznanej, dziś tak bliskiej i drogiej...

Minęły trzy lata. W niedzielny dzień wiosenny Zbyszek za miastem upajał się ożywczym powietrzem, przepojonym lekkim, nieuchwytnym prawie zapachem bielutkich kwiatków czereśni. I znów falą napływały wspomnienia. Obopólna wymiana fotografii zakończyła korespondencję, gdyż Zbyszkowi nie wolno było nadal pisać o swym uczuciu, o swych najtajniejszych pragnieniach. Ryśka zapewniła, że nie zapomni... a jednak!

Obecnie mogąc napisać, dał znak o sobie. I cóż? Taki spokój w naturze, taka słodycz, a w jego sercu smutek, bo to tak trudno zapomnieć, rozkazać sercu spokój! Ono i tak skarży i żali się gwałtownie.

Jak kiedyś tak i dziś wracał Zbyszek do swojego mieszkanka, ale już w stolicy, przygnębiony i apatyczny. Po drodze zaszedł do Łazienek posłuchać muzyki. I oto w pewnym momencie zobaczył zgrabniutką postać młodej dziewczyny, zbliżającej się ku niemu. Ta twarz, te oczy wpatrujące się weń tak dziwnie. Skądże ją zna? Znagła olśnienie, oszalałe tętno krwi i ten nieznośny skurcz gardła... Rysieńko! Zbyszku!...

I czyż trzeba węcej słów?...

Nadszedł już wieczór. Słońce złociło jeszcze korony drzew, słało się szlakiem purpurowym na zachodzie, z uśmiechem spoglądało na przytuloną do siebie parę — były to jednak już ostatnie blaski zachodzącego dnia, ostatnie pozdrowienia, ostatnie, serdeczne „dobranoc!" dla tych dwojga szukających się tak długo, teraz szczęśliwych i radosnych.

„Niestrudzony Wędrowiec".



Lew u dentysty ...

— Chodź Wilfredzie — rzekł Tulliwer — już najwyższy czas dla nas.

— Jestem gotów, James'ie — odparł Waker i wyszedł z Tulliwerem.

Przeszli jednak tylko małą przecznicą do tylnego wchodu zajazdu Biedermanna i wsunęli się cichaczem, tylnymi schodami do swego pokoju, którego drzwi po cichutku kluczem otworzyli.

Wsunęli się jak złodzieje do swego własnego pokoju i schowali się za firankę.

Sambo został umyślnie w szynkowni aż do późna, potem wziął zapaloną świeczkę w rękę i skarżąc się na ból głowy i zmęczenie, oddalił się do swej izdebki.

Zgasił niezwłocznie świecę i rzucił się w ubraniu na łóżko, nadsłuchując z zapartym oddechem, kiedy się w domu wszystko uciszy. Niecierpliwił się okropnie i zdawało mu się, że wszyscy dziś jakby na złość do późna siedzieli.

Wreszcie uciszyło się i Sambo zeskoczył z łóżka i zbliżył się do drzwi sąsiedniego pokoju, otworzył je i omal, że nie krzyknął z radości, gdy wszedł tak łatwym sposobem do mieszkania znienawidzonych sąsiadów.

— Zapomnieli zamknąć pokój! — mruknął i zapaliwszy świeczkę, zaczął szukać po łóżkach za skarbem, który go tak kusił.

Ale nie mógł znaleźć pieniędzy. Z przekleństwem na ustach, zaczął się oglądać po pokoju, aż wreszcie zobaczył baryłkę z łojem. Jak tygrys rzucił się na faskę i wydał głośny okrzyk radości, gdy podniósł wieko, gdyż zobaczył tam lśniące złotówki, do których tak dawno już wzdychał.

W pospiechu zaczął napełniać swoje kieszenie i tak był tą przyjemną pracą zajęty, że nie spostrzegł, jak się firanka poruszyła i jak się Tulliwer do niego zbliżył.

Dopiero, gdy go tenże złapał za ramię, wydał Murzyn ochrypły okrzyk i zbladł z przestrachu. Obawa śmierci, dodała leniwemu Murzynowi odwagi. Zaczęła się między nim a Tulliwerem rozpaczliwa walka.

— Na pomoc Wilfredzie! — krzyknął Tulliwer — przecież nie dopuścisz, aby nam ten czarny diabeł zabrał nasz ciężko zapracowany pieniądz!

— O, zaśmiał się Waker szyderczo — czy myślisz, że ja byłem taki głupi, zostawić tu nasze pieniądze? Włożyłem tam umyślnie kilka marek do grania w karty, a ten głupiec wziął to za złoto. Daj mu porządnie w skórę i wypuść go!

— W skórę dostanie — odparł Tulliwer — ale nie wypuszczę go na wolną stopę. Ja nauczę tego gałgana, jak szanować własność swoich bliźnich, a szczególnie białych!

Właśnie zabierał się Tulliwer do wymierzenia sprawiedliwości, gdy Murzyn wywinąwszy się zręcznie, uderzył go silnie w głowę, jednym susem podskoczył do drzwi, zbiegł jak strzała po schodach i przez bramę, która na szczęście nie była zamknięta, na ulicę.

Wtedy dopiero przyszedł Tulliwer do siebie i zaczął krzyczeć, co mu sił starczyło:

— Trzymajcie złodzieja! Trzymajcie złodzieja!

— Daj temu durniowi spokój! — rzekł Waker, chcąc go uspokoić, ale Tulliwer



Studenci paryscy urządzili wesołą demonstrację, domagając się przywrócenia dawnego nakrycia głowy, t. zw. velvat-barret.

głośniej jeszcze zaczął krzyczeć i nawoływać.

— Co się stało? — zapytał jeden z małej garstki cechujących jeszcze w szynkowni Biedermanna, wybiegłszy na korytarz.

— Trzymajcie złodzieja! — powtórzył Tulliwer i wybiegł na ulicę za zbiegiem.

— Ten jednooki Murzyn jest tym złodziejem — objaśnił Waker i wybiegł również za Sambem, a za nim podążyli obecni, wtórując okrzykowi:

— Trzymajcie złodzieja! Łapcie złodzieja!

Sambo drżał ze strachu, czując, że prześladowcy jego tuż są za nim i nie mając żadnej broni, którą by ich mógł odstraszyć.

Trwożnie oglądał się wokoło, ale wszystkie bramy domów były pozamykane, tak, że on nigdzie schronić się nie mógł.

Za sobą zaś słyszał coraz bliższe wołanie swych prześladowców.

Śmiertelny strach ogarnął Murzyna i dreszcze zimne go przechodziły, gdy wtem zobaczył okropnie brzydką Murzynkę, która kluczem otwierała bramę.

Zebrawszy ostatek sił, przyskoczył Sambo do niej, pociągnął za sobą Murzynkę i zamknął się od środka.

Potem dopiero zwrócił się do zdziwionej Murzynki i rzekł:

— Nie zdradź mnie! Ty czarna i ja czarny, powinniśmy ze sobą trzymać. Dostaniesz za to dużo pieniędzy.

— Pokaż! — rzekła chciwa Murzynka i wzięła podane sobie monety między zęby do próby.

— Co to za pieniądze — krzyknęła znów po chwili — ani to srebro, ani to złoto!

— Właśnie, że złoto! — zawołał Sambo z triumfem — słysząc z ulicy głośne krzyki. — Czy jest w tym domu jeszcze takie drugie wyjście? — zapytał.

— A co mi dasz za to, jak ja cię przez nie wyprowadzę? — zapytała Murzynka.

— Trzy złote monety! — odpowiedział Sambo — ale dopiero wtedy je dostaniesz, jak mnie bezpiecznie na kolej zaprowadzisz.

— Dobrze — rzekła Murzynka — ale musisz mi pierwej te pieniądze pokazać. Pójdź do mojej izby!

To rzekłszy, zaprowadziła go przez bardzo brudne podwórze do swej izdebki w oficynie, w której zapach tłuszczu, mydła i sody niemile był zmieszany z odorem wilgotnej bielizny i wódki.

Gdy Murzynka zapaliła kopcącą naftową lampkę, rozejrzał się Sambo po mieszkaniu, w którym suknie, bielizna, żelazka i flaszki w najokropniejszym były nieporządku.

— Teraz pokaż pieniądze — zawołała znów Murzynka — jesteśmy tu całkiem bezpieczni.

Proporcja ta nie była Murzynowi w smak, ale widząc, że jest zupełnie w mocy jej i że jedno jej słowo może go zgubić, wyjął z kieszeni trzy złotówki i podał je starej.

Ale ta oglądnąwszy dokładnie podane sobie monety, rzekła:

— To nie jest złoto i jakeś to ukradł, toś się daremnie trudził!

— Oho! — zawołał Sambo pogardliwie. — Ty nie znasz się na złocie!

— Ależ to nie jest złoto! — upierała się — czy masz jaką prawdziwą złotówkę dla porównania?

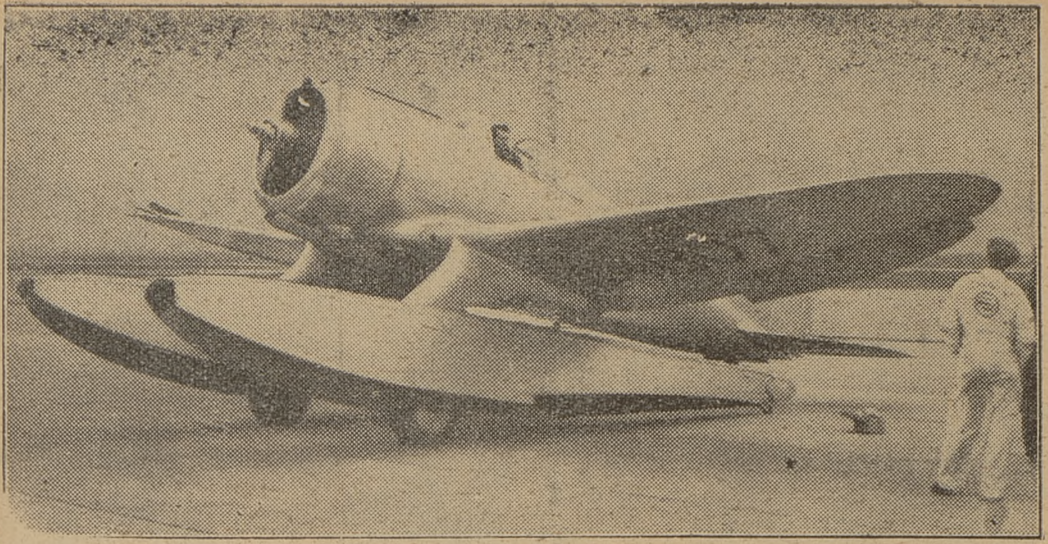
Z tych 400 dolarów, które Sambo dostał za kamień, zostało mu już zaledwie 50, po hulaszczym jego życiu. Miał je w torebce i przypomniał sobie, że ma między nimi jedną złotą monetę. Wyciągnął ją więc, dla porównania i ku wielkiemu swemu zmartwieniu zobaczył, że wyglądała ona rzeczywiście całkiem inaczej, niż pieniądze skradzione u Tulliwera i Wakera.

— Widzisz — triumfowała stara Murzynka — a ja ci zaraz mówiłam, że to nieprawdziwe! Daj mi zaraz tę prawdziwą złotówkę, bo inaczej wydam cię twoim prześladowcom! — zagroziła.

— Te białe diabły oszukały mnie! — jęknął Sambo i aż łzy potoczyły mu się ze złości po czarnej, tłustej twarzy. — Zwabili mnie umyślnie, aby mnie oszukać, a jak im się teraz zręcznie nie wywinę, to mnie na śmierć zbiją!

Zaczął płakać gorzkimi łzami, ale to Murzynkę nic a nic nie wzruszyło.

— Ja muszę mieć pieniądze, które mi obiecałeś — rzekła — ja się nie dam oszukać.



Amerykańskie wytwórnie samolotów wykonały na zamówienie Rosji Sowieckiej samolot bombardujący, mogący wznieść się w powietrze i z ziemi i z wody.

— Sambo sam nic nie ma! — lamentował Murzyn — Sambo biedny i nieszczęśliwy!

— Ja także biedna i nieszczęśliwa — odparła Murzynka nielitościwie. — Dawaj tu pieniądze, które mi się należą!

— Sambo nie ma — broni się znów Murzyn — Sambo nie będzie miał za co wyjechać!

Stara zaczęła gderać i narzekać, ale Sambo nie dał się zbić z tropu, a myśl, że prześladowcy jego już daleko odbiec musieli, dodawała mu odwagi.

— Jak chcesz, to mnie możesz zdradzić — zadrwił — ale wtedy ani centa nie dostaniesz. Przyjm więc lepiej co ci daję i odprowadź mnie za to na kolej.

Stara namyślała się przez chwilę, a widząc, że od niego nic więcej nie wydusi, rzekła opryskliwie:

— Daj mi przynajmniej tę jedną złotówkę!

Uznawszy, że z nią inaczej do końca nie dojdzie, dał jej Sambo żądaną monetę.

Ona schowała ją i oświadczyła gotowość wyprowadzennia go na dworzec.

Po półgodzinnej może drodze, doszli do dworca, gdzie Sambo kilka godzin na pociąg swój czekać musiał.

Wreszcie wsiadł do wagonu.

Jeszcze w izdebce starej Murzynki, powziął plan powrócenia do fermy „Szczęście i Błogosławieństwo Boże". Tam na milę wokoło nie było ani jednego żywego stworzenia, tam nikt go nie będzie prześladował i nikt go nie zdradzi! — pomyślał.

Przybywszy do Chio, zaopatrzył się w prowiant i rum i udał się w stronę fermy.

W mieszkaniu zastał trochę naczyń i prowiantu, które Zuzia zostawiła i posiliwszy się, położył się na zeschłych kukurydzowych liściach i łodygach i usnął smacznie.

Odtąd zaczęło się dla niego rajskie życie: jadł, pił, spał i nic więcej nie robił. Niepokoiło go wprawdzie trochę, że się jego zapasy zmniejszają, ale w swej lekkomyślności i tym się bardzo nie martwił.

— Jak Sambo wszystko zużyje — pocieszał się w myśli, to Sambo pójdzie w nieobecności Mayera do Zuzi i nastraszy ją, zagrozi jej, ona mu wszystko da, co on tylko zechce. O, Sambo mądry i Sambo nie boi się Zuzi!

ROZDZIAŁ CCXCVII.

Uratowana

Powróćmy znów do zagrożonego okrętu, na którym znajdowała się Sylwia.

Kapitan poszedł ze sternikiem do maszyn i oglądnął je starannie.

Wentyl był w porządku, ale nie wychodziła z niej para.

— Cóż to się stało? — zapytał kapitan — przecież ogień się nie pali!

— Panie kapitanie — rzekł palacz, śmiertelnie blady, kocioł jest pęknięty! Nie mogliśmy więc palić z obawy, aby nie było eksplozji. Chodzi tu przecież o życie trzystu osób!

— Może ten kocioł wytrzyma jeszcze kilka dni! — rzekł kapitan zrozpaczony.

Palacz kiwnął jednak tylko smutnie głową i odpowiedział:

— Kocioł jest z góry na dół pęknięty i nie mam odwagi palić!

— Może kto z pasażerów potrafi kocioł naprawić — rzekł wreszcie kapitan.

— Nie — zapewnił palacz — ja się już sam o to dowiadywałem!

Kapitan zamyślił się. Myślał na tym, czy zrobić użytek z ratunkowych łodzi, ale zarzucił tę myśl wkrótce, jako niewykonalną.

Jedyną nadzieją nieszczęśliwych ludzi była myśl, że się może jakiś przejeżdżający okręt nad nimi zlituje!

Nad ranem zwołał kapitan pasażerów i załogę na pokład i uwiadomił ich, o niebezpieczeństwie, w którym się znajdowali.

Pani Schnorr zaczęła znów krzyczeć i obrzucać kapitana wyrzutami i groźbami, i tak wyprawiała, że ją kapitan kazał wyprowadzić. Wtrącono ją do małej kajuty i zamknięto tam, aby uchronić kapitana od jej obelg.

Mężczyźni okazywali wielką odwagę i starali się pocieszyć płaczące i wystraszone niewiasty.

Tylko Sylwia, zachowywała się cicho i spokojnie. Nie uroniła ani jednej łzy ,lecz modliła się bezustannie o pomoc do Boga.

Tak uchodziła godzina za godziną, a przygnębienie pasażerów rosło.

Kucharz suszył zwilgotniałe owoce strączkowe, kawę i herbatę, a piekarz piekł chleb i bułki ze zmoczonej mąki.

Wszędzie napotykało oko smutne twarze i stroskane miny. Pasażerowie ledwo dotykali potraw, które kucharz sporządzał, jak mógł najlepiej.

Oczy wszystkich wpatrzone były w dal, czy nie zjawia się jaki parowiec, który by ich mógł uratować, ale nadaremnie!

Noc spędzono prawie bezsennie, a nazajutrz przygnębienie było jeszcze większe.

Kobiety płakały, a mężczyźni nie byli w usposobieniu pocieszania ich.

Nadzieja ratunku zmniejszała się z każdą godziną, a pasażerowie pewni byli, że są skazani na powolną śmierć.

Tak upłynął tydzień cały, a lekarz okrętowy coraz więcej miał do czynienia.

Kilka niewiast pomagało mu dzielnie, oddając chorym swym towarzyszom samarytańskie usługi.

Najpracowitszą z nich była naturalnie nasza znajoma, Sylwia Herbert.

Krzątała się troskliwie około chorych i dodawała im odwagi i otuchy. Tak była nimi zajętą, że nie miała nawet czasu oddawać się swoim smutnym myślom, a to było dla niej prawdziwym dobrodziejstwem.

Czyżby jej ofiara miała być bezowocną? Czyżby ta bohaterska dziewczyna miała tu zginąć?

Dotychczas pomoc żadna nie nadchodziła; aż wreszcie dziewiątego dnia zobaczono z daleka jakiś parowiec.

W oka mgnieniu zmienił się humor pasażerów. Kobiety zaczęły się całować, a mężczyźni ściskali sobie wzajemnie ręce z radości, którą głośno wyrażali.

Gdy się okręt zbliżył, kazał kapitan dać sygnał i po krótkim czasie otrzymał odpowiedź.

Potem kazał spuścić łódź, do której wskoczył i zaczął płynąć w stronę zbliżającego się parowca.

Opisał swemu koledze, krótkimi słowy, niebezpieczeństwo, w którym się znajduje i uzyskał u niego przyrzeczenie, iż on zabierze na swój okręt wszystkich pasażerów i część załogi.

Na szczęście okręt ten jechał do New Yorku, a zatem pasażerowie miele nadzieję, osiągnięcia celu swej podróży.

Gdy kapitan wrócił z tą pocieszającą nowiną, przyjęli go pasażerowie głośnymi okrzykami radości.

Kapitan zapytał, czy sześciu majtków z załogi, jakoteż sternik i kucharz nie zdecydowaliby się zostać z nim w tym uszkodzonym okręcie dobrowolnie, dopóki by ich jakiś okręt nie zaciągnął do portu.

Ale natychmiast zgłosiła się może 30 majtków dobrowolnie, a że kapitan żadnego nie chciał obrazić, więc kazał losem rozstrzygnąć, który z nich przy nim ma zostać.

Skoro tylko ta sprawa została załatwiona, zaczęło się przeprowadzanie pasażerów i pakunków, co dość czasu zabrało.

Wszyscy pasażerowie pożegnali się serdecznie z kapitanem, tylko pani Schnorr odeszła bez słowa, rzuciwszy mu tylko pogardliwe spojrzenie.

Tymczasem kapitan wskazał swemu koledze z drugiego okrętu Sylwię Herbert i opowiedział mu, jak ona się bohatersko zachowywała i z jakim poświęceniem chorych pielęgnowała. Polecił ją opiece kapitana i zwierzył mu się ze swych podejrzeń wobec pani Schnorr.

— Zdaje mi się — rzekł — że ta kobieta zbliża się do panny Herbert w nieczystych zamiarach. Niech pan ma na nią baczne oko i jeśliby się moje podejrzenia spraw-

dziły, to proszę tę Schnorrową zaraz po przybyciu do New-Yorku oddać w ręce policji!

Otrzymawszy od kolegi swego solenne przyrzeczenie, wrócił do swego uszkodzonego okrętu, zadowolony, że pasażerów swych tak dobrze ulokował.

Majtkowie, którzy zostali na uszkodzonym okręcie, byli w dobrym humorze.

— Chwała Bogu, że już bab nie ma i to lamentowanie ustanie — rzekł jeden z majtków — teraz będzie nam tu wcale przyjemnie!

— Gdyby do tego, tamten kapitan odstąpił nam jeszcze faskę mięsnej konserwy, to jeszcze było by nam przyjemniej! — zawołał drugi.

— Tego nie mógł uczynić, wobec tak dużego przyrostu pasażerów — odparł kucharz — musieliśmy jeszcze im dodać jarzyn strączkowych i zapas kawy. Ale muszę wam powiedzieć chłopcy, że i z nami nie jest tak źle, jak myślicie. Mamy jeszcze trzy barany, z których jednego zaraz zarżnę, aby wam ucztę urządzić. Jest też jeszcze kilka kur, więc nie umrzemy z głodu.

To rzekłszy oddalił się kucharz, aby obietnicę swą wykonać, a pozostali majtkowie pochwalili jego przezorność i dbałość o nich.

Mała załoga zachowywała się wzorowo. Ani słowa skargi, lub obawy z powodu wyczerpania się prowiantu czekania na ratunek.

Waleczność ta i odwaga ich, została nagrodzona. Z początkiem następnego tygodnia zobaczyli okręt.

Dano sygnał i wkrótce usłyszano odpowiedź.

Był to okręt zdążający do Londynu i kapitan tegoż okazał natychmiast gotowość zaciągnięcia uszkodzonego parowca do portu, mimo, że to opóźniało jego przybycie do oznaczonej przystani. Zaopatrzył ich też w brakujący im prowiant ,tak, że im odtąd na niczym nie zbywało.

Na szósty dzień przybiły oba okręty do przystani i kapitan uszkodzonego parowca wraz ze swoją załogą mógł wypocząć w Londynie po trudach podróży.

Równocześnie zdążał drugi okręt, „Piękna Henryka", w stronę New-Yorku i mimo, że wobec nadprogramowej a dużej liczby pasażerów, było ciasno, niewygodnie i że porcje obiadów i kolacyj były o wiele mniejsze, panował spokój i względne zadowolenie.

Nawet pani Schnorr trzymała język za zębami i spoglądała tylko melancholijnie, na mały kawałek mięsa na swym talerzu.

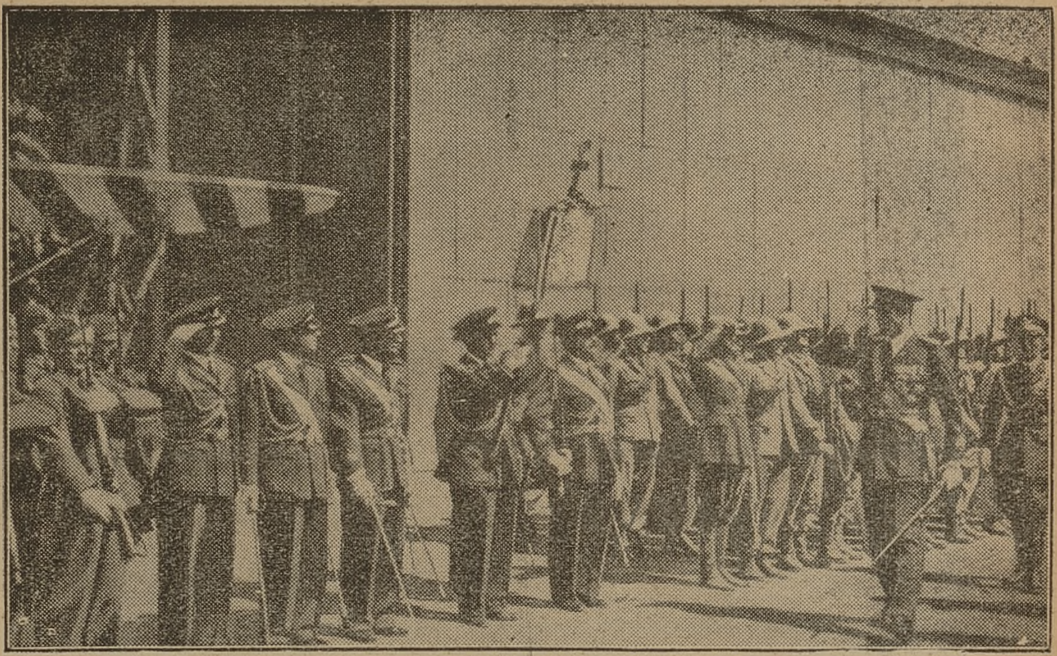
Piątego dnia po przyjęciu nowych pasażerów, usłyszano wreszcie okrzyk:

— Ląd! ląd !

Wszyscy pasażerowie wybiegli na pokład, patrząc we wskazaną stronę, ale trudno im było uwierzyć, aby ten wąski, szaro-niebieski pas na horyzoncie, mógł być stałym lądem Ameryki.

Dopiero na zapewnienie kapitana, uwierzyli wszyscy i zawtórowali radosnym okrzykom majtków: ląd! ląd!

Sylwia zaś złożyła pobożnie ręce i pobożną modlitwą podziękowała Bogu, że pozwolił dobić do celu jej podróży.



Wicekról Abisynii, ks. d'Aosta wizytuje włoskie siły lotnicze w Addis Abebie.

ROZDZIAŁ CCXCVIII.

Zacisze leśne

Z czasem uspokoił się gwałtowny ból Grety, z powodu śmierci ukochanego brata i zmienił się w spokojny żal.

Gdy była samą, zalewała się jeszcze gorącymi łzami, ale wobec Mayerów, z których gościnności dotąd jeszcze korzystała, ukrywała swą żałobę i była zawsze jednakowo spokojną, pogodną i uprzejmą.

Pracowała nieznużenie od rana do wieczora, ale mimo to nie mogła Zuzi dogodzić i musiała znosić od niej przykrości w nieobecności Mayera.

Zuzia wystrzegała się tego starannie, gdy mąż był w domu.

Greta nie umiała sobie wytłumaczyć nieuprzejmości i niezadowolenia pani Mayer gdyż nie poczuwała się do niczego i miała świadomość, że uczciwie i rzetelnie pracuje.

Żyli spokojnie na tej pustelni i tylko pójście do kościoła w niedzielę, przerywało ich monotonne życie. Józef zrobił propozycję, aby zawsze dwoje szło na odmianę w niedzielę do kościoła w Friedrichskron na nabożeństwo ,ale sprzeciwiła się temu zazdrosna Zuzia, obawiając się takiego sam na sam, męża swego z młodą i przystojną Gretą.

— Ja muszę być co niedzieli na nabożeństwie — rzekła z błyszczącymi oczyma — jestem chorą kobietą i mogę każdej chwili zejść z tego świata, muszę więc być każdej chwili przygotowaną, aby stanąć przed sądem Bożym z czystym sumieniem.

Nie pomogły żadne perswazje ze strony Mayera, Zuzia obstawała przy swoim.

— Jednej niedzieli zostaniesz tv, aby pilnować domu, drugiej Greta — rozporządziła.

— Dobrze! — odparł Mayer.

Następnej niedzieli poszły obie kobiety do kościoła do Friedrichskron, a przystojna i świeża Greta zwróciła na siebie powszechną uwagę.

Po nabożeństwie przystąpiło do niej kilku młodych ludzi i chcieli nawiązać z nią rozmowę, ale Zuzia zazdrosna, że nie jej się to tyczyło, odciągnęła ją po chwili, mówiąc, że muszą natychmiast wracać do domu.

Mimo tego pospiechu jednak, zatrzymała się jeszcze bardzo długo w mieście i porobiła duże zakupy. Gdy kupiec chciał zrobić z tego dwa pakunki, rzekła:

— Niech pan lepiej zrobi jeden pakunek, gdyż dziewka moja jest zdrowa i silna i z łatwością go do domu zaniesie!

Greta wzięła pakunek bez oporu ,ale ledwo mogła nadążyć prędko idącej Zuzi z dużym swym ciężarem. Wróciła zarumieniona i zadyszana.

— Ależ Zuzio — rzekł z wyrzutem Mayer, który na przeciw im wyszedł — jak mogłaś dać pannie Grecie taki pakunek do dźwigania?

— Są to tylko same bardzo potrzebne rzeczy — rzekła Zuzia — czy miałam je może sama dźwigać?

— Wiesz przecież, że ja w środę z nabiałem do miasta idę — odparł poczciwy Mayer — byłbym ci mógł z powrotem wszystko w próżnym koszu z miasta przynieść.

— To by był przewrotny porządek ,gdyby się pan domu opakowywał jak osioł, na to aby służąca nie potrzebowała dźwigać ciężaru — zadrwiła Zuzia — na cóż nam dziewka, jeśli nie na to, aby pracowała?

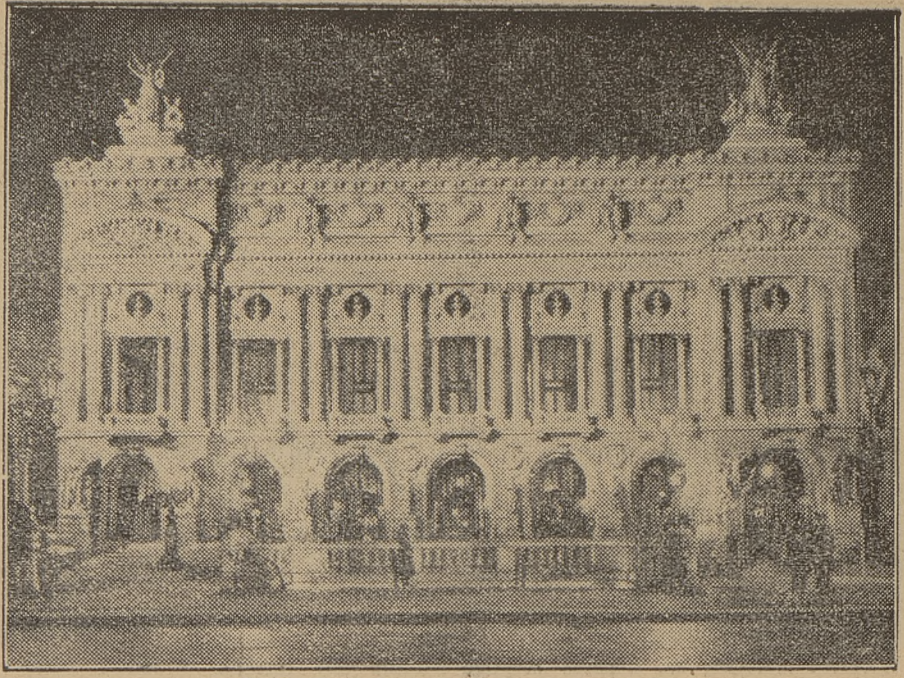
— Panna Greta nie jest naszą służącą, lecz naszym gościem — odparł Mayer gniewnie — nie dajemy jej przecież żadnej zapłaty!

— Alboż ja wiem ,czy jej nic nie dajesz? — wybuchnęła Zuzia ze złością — ja biedna kobieta jestem w tym domu tylko zerem. Czyż ja wiem, co się za moimi plecami dzieje?

Tego już Mayer nie mógł dłużej znieść.

— Myślisz, że jeśliś ty mnie oszukała — wybuchnął oburzony — to ja ci muszę równą monetą odpłacić? Nie zapominaj, że jesteś w moim domu tylko z litości, żeś straciła prawo do mej miłości i szacunku.

— Jak ty do mnie przemawiasz, wobec tej obcej — krzyknęła Zuzia, pieniąc się — teraz ani minuty więcej pod tym dachem jej nie zniosę. Marsz! — zwróciła się do biednej dziewczyny — precz stąd! Wybieraj się, a łachy twoje wyrzucę na dwór.



Piękne zdjęcie nocne opery paryskiej.

Ze słów jej i spojrzeń przemawiała tak straszna nienawiść, że przestraszona Greta zawołała ze łzami w oczach:

— Cóż ja pani złego zrobiłam. Czym nie znosiła wszystkiego cierpliwie?

— Precz stąd, mówię — wrzasnęła Zuzia — wniosłaś niezgodę pod nasz dach i skradłaś mi serce mego męża!

Greta rozpłakała się i chciała opuścić dom, ale Mayer wstrzymał ją silną dłonią!

— Pani tu zostanie! — rzekł ochrypłym głosem. — Ja nie zniosę, aby pani stąd odeszła!

— Ha, ha! — zaśmiała się Zuzia — więc ona zostanie, a ja mam się wybierać! Teraz dopiero widzę, że miałam rację podejrzewając was o zdradę wobec mnie!

— Nie, ja muszę pójść — rzekła zrozpaczona Greta — ani minuty dłużej pod tym dachem nie zostanę i choćbym w lecie z głodu umrzeć miała! Ale znajdą się jeszcze dobrzy ludzie, którzy mnie przygarną z litości!

— Nie! — odparł Mayer. — Na to się nie zgadzam. Wiem, że trudno pani zapomnieć obelgi doznanej od mej żony, ale nie zniosę tego, aby pani tak nagle dom nasz opuściła. Obejrzę się sam za dobrą posadą dla pani i wtedy dopiero panią stąd puszczę. Tobie zaś, Zuziu radzę, — zwrócił się do swej żony — abyś się ani słowem więcej do panny Grety nie odzywała, bo pożałujesz! Przeproś ją natychmiast!

— Raczej umrę! — syknęła Zuzia — i mówię ci, że jeżeli ona natychmiast nie odjedzie, to będzie nieszczęście!

— Bądź pan zdrów, panie Mayer — rzekła Greta łagodnie — bo ja tu dłużej zostać nie mogę. Nie chcę, aby ktoś mógł powiedzieć, że wniosłam niezgodę w dom pański.

Podała mu serdecznie rękę, którą Mayer kurczowo uścisnął.

— Dokąd się pani teraz uda? — spytał zaniepokojony.

— Do Friedrichskron, do kupca Wielanda — odparła dziewczyna — zaprosili mnie, abym ich odwiedziła.

— Ja panią odprowadzę i zaniosę pani kufer — rzekł Mayer — proszę się spakować.

Milcząc, spakowała młoda dziewczyna swe rzeczy, które Mayer wziął na plecy i na wychodnem chciała Zuzi jeszcze kilka pojednawczych słów powiedzieć, ale rozjuszona kobieta odpowiedziała jej na to całym potokiem obelg.

Zasmucona, opuściła więc Greta dom, w którym przez kilka tygodni miała przytułek.

Milcząco kroczył Mayer obok Grety i oboje głęboko byli zadumani. Wreszcie po całodziennej może wędrówce przez las, przerwała Greta milczenie, mówiąc:

— Może pan złoży kufer i wypocznie trochę? Oto duży pień, na którym pan może usiąść; pan jest zmęczony.

— Nie, wcale nie — zaprzeczył Mayer, ale mimo to złożył kufer i usiadł na pniu.

Poprosiwszy, aby Greta obok niego usiadła, zapytał:

— Czy pani ma mnie za bardzo złego człowieka?

— Co za pytanie? — odparła Greta — jest pan najlepszym człowiekiem pod słońcem!

Mayer westchnął głęboko i ciągnął dalej:

— Dobrze, że pani mną nie pogardza, panno Greto! W irytacji wypowiedziałem pani kilka słów o swej żonie, które później najchętniej byłbym cofnął. Ale może przecież lepiej będzie, jeśli pani wszystko powiem. Ach, panno Greto, ja jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! Ta kobieta, którą kochałem nad życie, za którą byłbym w ogień wskoczył, zdradziła mnie haniebnie i wstydem me nazwisko okryła. Uciekła ode mnie, aby prowadzić wesołe i hulaszcze życie i dopiero gdy zachorowała i myślała, że jej przyjdzie umierać, wróciła skruszona pod mój dach. Nie umarła, niestety! Niech mi Bóg wybaczy, że tak mówię, ale proszę osądzić, panno Greto: Czy jest większe nieszczęście od mego? Jestem na całe życie związany z kobietą, którą pogardzam z całej duszy! A jestem jeszcze taki młody! I myślę, że to Bóg wie, jak długo to jeszcze potrwa! Tylko śmierć mnie może od tego uwolnić!

Zakrył twarz rękami i wybuchł gorzkim płaczem.

Greta patrzała na niego z głębokim współczuciem.

— Niech pan tak nie płacze, panie Mayer — prosiła — nastaną i dla pana jeszcze lepsze czasy! Żona pana żałuje pewno za swoje grzechy i na przyszłość się poprawi!

— Dopóki nie będzie miała sposobności do nowych wybryków — odparł Mayer gorzko — gdyby nie była straciła zdrowia i piękności, nie byłaby w ogóle do mnie wróciła. Tylko nędza ją do tego zmusiła!

Greta starała się usprawiedliwić ją, mimo, że nią w duchu pogardzała.

Ale Mayer potrząsnął tylko przecząco głową.

— Nie — odparł smutno — ona ma złe serce. Piękność jej zaślepiła mnie tak, że nie poznałem się na jej lekkomyślności i pustej głowie! Radzę pani, panno Greto, patrzeć trzeźwo na ludzi i nie dać się zwabić piękną powierzchownością, bo to jest największe nieszczęście! Niech pani tylko patrzy na serce, a nie na twarz!

— Ja nigdy za mąż nie wyjdę — rzekła Greta stanowczo.

— O, zmieni pani jeszcze swoje postanowienie i zapomni mnie pani prędko! — odparł Mayer stroskany.

— Nie, nigdy! — zawołała Greta serdecznie. — Nigdy pana nie zapomnę! Jest pan przecież moim jedynym przyjacielem i będę pana wspominała, aż do grobowej deski z wdzięcznością!

Promyk nadziei zaświecił w oczach Józefa.

— Dziękuję pani! rzekł wzruszony do głębi serca.

Umilkli znowu, potem zapytała Greta:

— Co powiemy pani Wieland? Bo ona się pewno zdziwi memu przybyciu!

— Nie mam pojęcia — odparł Mayer zaambarasowany.

— Trzeba jej będzie po części prawdę powiedzieć — rzekła Greta — powiem, żem się z panią Mayer jeszcze po drodze z kościoła pokłóciła i że ona mi za to służbę wypowiedziała.

— To będzie najlepsze — rzekł on zadowolony — ludzie jej nie lubią i pewnie pani rację przyznają.

— Musimy teraz dalej iść — rzekła Greta z westchnieniem — aby pan za długo nie był w drodze.

Mayer wstał i poszedł za jej radą. Serce pękało mu z bólu. Nieprzezwyciężona jakaś siła ciągnęła go do młodej dziewczyny.

Gdyby tak mógł był objąć młodą, piękną jej postać i wyznać jej swą miłość!

Czuł jednak instynktownie, że mu się nie wolno było z tym zdradzić.

Greta zaś taką czuła litość dla tego zdradzonego i oszukiwanego biedaka, że byłaby chętnie swoje życie oddała, aby mu szczęśliwą przyszłość zgotować.

Tymczasem wyszli z lasu na pola zasiane koniczyną. Nagle schyliła się Greta, gdyż bystre jej oko dostrzegło czterolistną koniczynkę. Urwała i podała listek Mayerowi.

— To przynosi szczęście — rzekła — proszę to dobrze schować.

Mayer postawił kufer na ziemi i patrzał wzruszony na dar ukochanej dziewczyny. Potem włożył listek starannie między kartki notesu i rzekł:

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

MARIA REUTT

3)

Anna

Ale co znaczyły te drobnostki w porównaniu z tak wielkim nieszczęściem, jakie ją spotkało.

Podniosła błagalne oczy na dawną wychowankę i serce jej ścisnęło się przeczuciem.

Anna patrzyła na nieszczęsną matkę chłodno i wyniośle, nie okazawszy nawet mrugnięciem oka, że ją poznaje, nie uczyniwszy żadnego gestu na powitanie. Hrabina wyciągnęła do niej błagalnie drżące ręce.

— Anno, spotkało mnie wielkie nieszczęście. Leon został aresztowany przedwczoraj i znajduje się w Czerezwyczajce.

— Tak? — powiedziała Anna obojętnie, zdawkowo.

— Anno, — błagała hrabina — on jest niewinny. Nie było go tu, więc nie mógł w niczym narazić się władzy... Wstaw się za nim do swego męża. Stepanow cię tak kocha; ty masz podobno wielki wpływ na niego... Pomóż mi Anno, byłaś zawsze taką dobrą dziewczyną...

Anna nie poruszyła się. Oczy jej zimne, obojętne, twarde i zacięte w wyrazie patrzyły prosto w załzawione, zrozpaczone źrenice stojącej przed nią kobiety, jakby napawały się jej cierpieniem.

Przerażenie i beznadziejność ostrym bólem rozpaczy przeszyło serce matki. Nogi ugięły się pod nią. Upadła na kolana i płacząc błagała bezładnie:

— Bądź miłosierną, ratuj Leona, Bóg ci za to stokrotnie zapłaci. Byłam zawsze dla ciebie i twoich dobra. Gdyby ojciec twój żył... on nas tak kochał...

— Usta Anny drgnęły, wykrzywiły się wzgardliwie, a oczy zamigotały nienawiścią.

— Owszem, obiecuję ci, że prosić będę męża, by syn twój umierał najwolniejszą i najokrutniejszą śmiercią jaką będzie w stanie wymyślić dla niego, by krzyczał w niebogłosy i błagał o śmierć, a ja będę miała przyjemność przyglądać się temu.

Hrabina zemdlona osunęła się na ziemię.

— Wyrzuć na dwór to stare ścierwo — rozkazała służącej — odchodząc do pokoju.

Dziewczyna kopnięciem nogi wypchnęła zemdloną kobietę na stopnie.

Po kilku minutach hrabina otworzyła oczy i powiodła wzrokiem dokoła.

Leżała na ostatnim stopniu bocznego wejścia domu Stepanowa. Bolała ją bardzo głowa i plecy, ręce i nogi miała posiniaczone. Z trudem podniosła się i przygarbiona, obolała poszła wolno do domu.

Nie widziała twarzy Anny, która przez okno przyglądała jej się z złośliwym uśmiechem na wargach i radosnym triumfem w oczach.

— Katarzyno — wołała ze łkaniem w głosie hrabina do starej służącej — wszystko na darmo! Wyrzuciła mnie z domu i obiecała, że będzie prosiła Stepanowa o najgorsze tortury dla Leona, by mogła im się z przyjemnością przyglądać.

* * *



Niedźwiedzie pieszczoty. (Zdjęcie z ogrodu zoologicznego w Broklynie w Nowym Jorku).

Dnie wlokły się wolno przynosząc hrabinie łzy rozpaczy i zwątpienia.

Co dzień rozchodziły się wieści o wykonywanych wyrokach śmierci, co dzień zrozpaczone rodziny nieszczęśliwych więźniów myślały bliskie obłędu: a może to mój... może to on został rozstrzelany. — Codziennie tłumy płaczących kobiet i dzieci, posępnych starców czekały u drzwi Czerezwyczajki na wiadomości. Czekali godzinami nim wreszcie który z urzędników raczył wyjść do nich i wysłuchać ich pytań i próśb ze znudzoną, obojętną miną. Gdy który z więźniów został zabity, rodzina otrzymywała jego kurtkę lub koszulę, jeżeli jeszcze żył, kazali przyjść następnego dnia.

Piątego dnia po uwięzieniu syna hrabina dotarła do sekretarza. — Urzędnik ten, kominiarz z zawodu, oznajmił jej z radosnym śmiechem, że Leon czeka swej kolejki i najdalej pojutrze złoży wizytę swojemu Bogu i swoim aniołom.

* * *

W głębokiej ciszy nocy hrabina Natalia oczekiwała śmierci swego jedynaka. Całą noc nie zmrużyła powiek. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w posępną ciemność pokoju. Bała się zamknąć powieki. Obawiała się, że gdy je opuści na zapłakane oczy, pod powiekami zarysują się jasno obrazy cierpień Leona i tortur, które go czekają i wtedy oszaleje z bólu.

Wreszcie noc rozpraszać się zaczęła w szarość poranku. Drżąc z niewyspania zwlekła się z łóżka. Uklękła przy oknie i wbrew nadziei i możliwości błagała Boga o cud.

— Synu mój... — łkała — chłopcze mój najdroższy, ukochany... Dziecko moje — przeplatała modlitwy łkaniem.

I stał się cud.

Śpiące na pozór miasto przebudziło się, ożyło. Ciche powietrze rozdarł triumfalny dźwięk trąbki, na ulicach rozległy się odgłosy kopyt końskich i kroków ludzkich, miarowych, ciężkich.

W oknach rozsunęły się firanki i poprzez szarość wczesnego poranku ukazały się w oknach nieśmiało głowy ludzkie, a serca zabiły trwogą, lub nadzieją. Ulicami szło wojsko generała Denikina.

Bolszewicy uciekali w popłochu lub kryli się gdzie mogli — ale urzędnicy Czerezwyczajki wraz z wszechwładnym Stepanowym zaskoczeni dali się wziąć żywcem. Stepanowa i kilku starszych komisarzy bez sądu postawiono pod ścianę i rozstrzelano w tym samym miejscu, gdzie rozstrzelali tylu niewinnych ludzi, których jedynym przestępstwem było to, że nie należeli do klasy kominiarzy, woziwodów i im podobnych.

Hrabina Natalia biegła jak młoda dziewczyna do gmachu Czerezwyczajki po wiadomość o synie. Pchała ją rozpacz, niosła nadzieja. Już z daleka widziała grupę mężczyzn, idącą od bramy, ale nie mogła ich rozpoznać. Nie było jej Leona wśród nich. Wyzwolenie przyszło dla niego za późno.

Upadła ciężko na ziemię. Gdy przyszła do przytomności leżała w łóżku i Leon pochylał się nad nią.

Zamknęła oczy i modliła się w duchu — Boże daj, żeby to nie był sen.

Nie zjawa, ale żywy Leon całował jej ręce. Wychudły, blady, wymęczony, ale cały i zdrowy. Tuliła jego głowę do piersi, obsypywała jego twarz pocałunkami, oblewając ją łzami.

* * *

Leon nie czekał klęski denikinowskiej, powrotu bolszewików. W przebraniu chłopskim, z dokumentami zasuniętymi za podszewkę butów powędrował do Polski. Matka miała jechać za nim przy najbliższej okazji.

Dostawszy się do Polski zapisał się do wojska, robiąc jednocześnie starania o sprowadzenie matki do kraju. Niepokoił się o nią i troszczył i nie ustawał w zabiegach o jej przyjazd.

Ranny w nogę pod Płonnem, długie miesiące przeleżał w szpitalu, gryząc się brakiem wiadomości od niej. Aż wreszcie pewnego jesiennego dnia, gdy o kuli chodził po korytarzach szpitalnych oddano mu list od matki. Wędrował długo nim doszedł do jego rąk.

Matka pisała, że jest już w Warszawie, że tęskni i jest bardzo niespokojna o niego, że zatrzymała się u swego kuzyna, który im, t. j. jej i Leonowi oddał do rozporządzenia małe trzypokojowe mieszkanko na ul. Koszykowej we własnym domu. List kończył się prośbą o prędką wiadomość.

Spotkanie z matką było bardzo wzruszające i rzewne. Hrabina posiwiała, przygarbiła się, wychudła i jakby zmalała. Tylko jej miłość dla syna pozostawała ta sama wielka, gorąca, ofiarna.

Przywiozła ze sobą jedynie drobne pamiątki i trochę biżuterii, którą udało jej się ukryć przed chciwością Stepanowa: kolczyki brylantowe, naszyjnik z pereł, parę bransolet i broszek, usianych drogimi kamieniami.

Sprzedała perły i umeblowała za nie mieszkanie.

Leon porzucił wojsko i otrzymał posadę w Min. Spraw Zagr. dzięki znajomości obcych języków.

W tym czasie siostra cioteczna hrabiny otworzyła sobie pensjonat w Świdrze i namówiła ją, by razem zamieszkały.



Piękne zdjęcie lotnicze Gibraltaru, stanowiącego bramę do Morza Śródziemnego.

— Młodemu człowiekowi na jego stanowisku i z jego możliwościami kariery potrzebna jest pewna swoboda — tłumaczyła pani Dada, ongiś pieczona, wydelikacona żona magnata spod Kijowa, dziś dzielna, pracowita, energiczna właścicielka dobrze prosperującego pensjonatu.

I hrabina Natalia przyznała jej słuszność. — Czego by ona nie zrobiła dla Leona, dla jakiego poświęcenia nie byłaby zdolna.

* * *

Pewnego dnia Leon przechodząc korytarzem w gmachu ministerstwa zetknął się twarzą w twarz z Anną, trochę szczuplejszą, starszą, ale tą samą, dawną, zręczną, ładną, elegancką.

Zatrzymał się jak wryty.

— Anna, co tu robisz? — krzyknął.

Zaczerwieniła się, potem zbladła. W jej szafirowych oczach zamigotał strach, podmalowane na czerwono usta zadrżały. Rozpłakała się.

— Leonie, na miłość Boską nie wydawaj mnie — prosiła. — Czekaj na mnie po biurze. Wyjdziemy razem, opowiem ci wszystko, wytłumaczę.

Machinalnie zgodził się na jej żądanie. Był wstrząśnięty tym spotkaniem do głębi duszy. — Anna, żona szefa czerezwyczajki, krwawego komisarza Stepanowa, w Polsce, urzędniczką w ministerstwie! To było coś niesłychanego!

* * *

Czekała na niego na dole. Wyszli razem i wstąpili do małej cukierenki na ulicy Jasnej. Tu usiedli w zacisznym kąciku, osłoniętym sztuczną palmą; opowiedziała mu swoją tragiczną historię, wzdychając i popłakując.

Nienawidziła Stepanowa, brzydziła się nim, ale musiała za niego wyjść, ponieważ zgwałcił ją. Nienawidziła bolszewików, ich zakłamanych idei, ich ohydnych czynów. W głębi serca czuła się więcej Polką niż Rosjanką, wszakże jej ojciec był Polakiem, no i kochała Leona, przecież on wie o tym. Cierpiała bardzo, gdy ją odsunął od siebie i nie mogła go nigdy zapomnieć. Kiedy Stepanow został rozstrzelany, poczuła się wolną, swobodną, nic ją już nie wiązało z tym okropnym miejscem. Przyjechała do Polski. Matka została tam, gospodaruje na tym kawałku, który otrzymała od hrabiny po śmierci męża, a jej ojca.

— Kochałam i kocham cię — szeptała. — Nie mam i nie miałam nigdy nic wspólnego z okrucieństwem i okropnościami Czerezwyczajki. Gdybyś ty wiedział jak nienawidziłam tego życia, jak cierpiałam, jak wszelkimi siłami starałam się ratować tych nieszczęśliwych ludzi, którzy wpadali w ich szpony. Gdy ciebie aresztowano na kolanach błagałam Stepanowa o wypuszczenie cię. Ale on nienawidził cię. Ty byłeś hrabią, człowiekiem bogatym, szanowanym, utytułowanym, a on tylko synem wiejskiego popa. Całowałam jego buty, czołgałam się u jego nóg nieraz, znosiłam od niego upokorzenia, poddawałam się z rezygnacją jego brutalnym, wynaturzonym zachciankom, by ciebie uratować. Moja powolność, łzy, prośby osłabiły jego zaciętość na tyle, że egzekucję nad tobą odkładał z dnia na dzień, aż było za późno.

Ujęła jego rękę w swoje gorące ręce i przytuliła do niej zimne wargi. Drgnął zmieszany i delikatnie próbował cofnąć rękę, ale ona trzymała ją silnie w swym uścisku i nachylona, z oczami utkwionymi błagalnie w niego szeptała:

— Przybyłam do Polski za panieńskim paszportem, noszę nazwisko ojca i pod tym nazwiskiem pracuję tu i jestem tak szczęśliwa, z dala od tych hien w ludzkim ciele. Nie gub mnie Leonie.

Uwierzył jej. Przecież znał ją od dziecka; była córką ich wiernego, oddanego sługi, znanego ze swej prawości. Nim się rozstali obiecał jej, że nietylko nie wyda jej, ale gdyby skądkolwiek bądź groziło jej niebezpieczeństwo wykrycia jej podstępu, stanie przy niej i będzie za nią ręczył. Posunął się nawet w swej wspaniałomyślności tak daleko, że nie wspomniał nic matce o obecności Anny w Polsce, o spotkaniu z nią i jej pracy w ministerstwie. Staruszka ma żal do niej, prawdopodobnie nawet niesłuszny, wygadałaby się i Anna miałaby duże przykrości z tego powodu — myślał jadąc do matki na niedzielę do Świdra.

* * *

Nostalgia to niebezpieczna choroba, szkodliwa słabość. Jednoczy ona nie tylko przyjaciół, ale i wrogów, osłabia wolę i bystrość sądu i wnikliwość człowieka.

Dla Leona — trawionego tęsknotą do rozległych stepów ukraińskich Anna stała się nie wdową po komisarzu bolszewickim i szefie czerezwyczajki, a najmilszym wspomnieniem przeszłości, wizją stepów i jarów ukraińskich.

Spotykali się często i to za jej staraniem. Umawiała się z nim, by jedli wspólnie obiady i kolacje, szukała ustawicznie jego towarzystwa zawsze łagodna, słodka, oddana, zawsze wdzięczna za najniklejszy dowód zainteresowania się nią z jego strony, zawsze spragniona jego obecności.

Tak przeszła zima i nadeszła wiosna, zakwitły bzy i rozśpiewały się słowiki.

Zamiast do cukierni lub restauracji chodzili na długie spacery w Aleje Ujazdowskie, do Łazienek.

I tu w tym parku, tak pełnym wspomnień o królu Stasiu i pięknym księciu Pepi, w wieczór pachnący bzem, rozjaśniony mlecznym światłem księżyca oświadczył jej się w słowach prostych i niewyszukanych:

— Czy chcesz zostać moją żoną?

Słowa jego przyjęła z zachwytem — przecież to było najdroższym marzeniem jej całego dotychczasowego życia.

* * *

Leon pojechał do Świdra, by oznajmić matce o swoich zamiarach matrymonialnych.

Czekała na niego na dworcu, szczupła, siwa, rasowa, wytworna, najlepsza z matek najukochańsza.

Serce mu biło niespokojnie, gdy aleją wierzbową szedł obok matki w stronę pensjonatu. Jak ona przyjmie tę nowinę! Nie będzie rada, był pewien tego, ale znał również ogrom jej miłości do niego. — Zgodzi się, musi się zgodzić. Nie będzie miała siły stanąć w poprzek jego szczęścia. — Był uległym synem dotąd, godził się z jej planami co do swej przyszłości, lecz teraz sam o niej zadecyduje. — Chciała go wyswatać z Krysią Znamierowską. Byłby się z nią ożenił, gdyby nie przeniosła się nad tego włoskiego markiza, który miał płomienne oczy, odrapaną willę w Sorrento i więcej długów w tysiącach lir niż groszy w kieszeni. Podobno bijał żonę trzy razy na tydzień, ale miała tę przyjemność, że należała do otoczenia dworu królewskiego.

— — — — — — — —

Gdy znaleźli się w jej pokoju powiedział nie patrząc na nią:

— Żenię się, mamo, z Anną...

Patrzała na niego, jakby nie rozumiejąc. Milczała chwilę.

— Żenisz się? — powiedziała bezdźwięcznie, zaskoczona, przelękła.

— Tak mamo i to w krótkim czasie.

Nie rozumiała jeszcze.

— Żenisz się? Z kim?

— Z Anną — odpowiedział niecierpliwie — mówiłem ci już...

Nie mogła się domyślić.

— Owszem, wymieniłeś mi jej imię, ale kto ona, ta Anna?



Zdjęcie lotnicze miasta Columbus w stanie Kansas Stanach Zjednoczonych A. P., nad którym szalał ostatnio gwałtowny tornado.

Zdenerwował się. Miał wrażenie, że matka udaje, by mu utrudnić rozmowę. W głosie jego dźwięczała nuta wyzywająca, gdy odpowiedział:

— Anna Kuźmińska, córka naszego Jana.

— Anna Kuźmińska? — zdumiała się.

— Przyjechała do Polski, pracuje w biurze w Warszawie...

Hrabina zaciskała ręce na piersiach, to rozkładała je w ruchu nerwowym, jakby chciała zdusić te bolesne drgania serca, to kłucie przeszywające w płucach.

— Leonie, to niemożliwe, to nie może się stać, ty i żona bolszewika i sama zajadła bolszewiczka!

Chwyciła go za ramię:

— Leonie, chyba żartujesz!

Nie żartował, był zdecydowany zaślubić ją. Odpowiedział nie patrząc na matkę.

— Mamusiu, czy chcesz, czy nie, a ja muszę się z nią ożenić i ożenię. Kocham ją. Dałem jej słowo i nie cofnę się.

Tuliła się do niego ogarnięta bólem i smutkiem.

— Leonie — błagała go ze łzami — ta dziewczyna to potwór, to żmija podła, niegodna być twoją żoną. Porzuć ją, cofnij się póki czas, nie gub się...

Przycisnął matkę do siebie, przywarł wargami do jej ręki i całował długo, jakby ją przepraszał, prosił o przebaczenie.

Odpowiedział jednak, unikając spojrzenia w jej zmącone bólem źrenice:

— Żebyś nie wiem co mi o niej mówiła nie zmieni to mego postanowienia co do Anny i za 14 dni zostanie ona moją żoną.

Za 14 dni straci go na zawsze! Znała jego stanowczość, wiedziała, że gdy raz coś postanowił, to nie zmieni tego, choćby miał zapłacić całym życiem za ten krok. Zgniotła swą rozpacz w sercu i powiedziała spokojnie:

— Jesteś dorosłym mężczyzną, wiesz na co się warzysz, ale na miłość Boską nie przyprowadzaj jej nigdy do mnie, nawet do umarłej...

* * *

Pomimo całego zaślepienia, Leon zauważał rysy, które go drażniły i niepokoiły i psuły obraz jej prawości charakteru, który sobie wymalował w zakochanym sercu.

Pierwszą rzeczą jaka go zaniepokoiła był brak otwartości i szczerości. Była zamkniętą w sobie i podejrzliwą, nigdy nie dała mu szczerej odpowiedzi, unikała jej. A jej przyjaciółki? Gdzie ona poznawała takie cudaczne, podejrzane figury?! Ta ryża Żydówka, z którą Annę spotykał najczęściej. Natrętna, cyniczna, ordynarna i w dodatku nie umiała mówić po polsku. Rozmawiały zawsze po rosyjsku.

Zaczerwieniła się i zmieszała, gdy wyraził niezadowolenie z tej przyjaźni:

— Spotkałam ją w drodze do Polski. Zaopiekowała się mną bardzo życzliwie. Pomogła mi wynaleźć sobie pokój w Warszawie, poszukać pracy. Mam jej dużo do zawdzięczenia...

— Mogłaby się już nauczyć po polsku — mruknął niechętnie.

— Nie bądź szowinistą — odrzuciła gniewnie.

A widząc jego posępną twarz ruchem łaszącej się kotki otarła policzek o ramię Leona.

— Co za poważna minka! Objęła go za szyję. — Mój drogi, czy nie możemy mówić o czymś przyjemniejszym. Tak tęskniłam do twego widoku, a tu mój pan i władca nabormusza się.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w same usta. Przycisnął ją mocno do siebie.

* * *

W niedzielę poszli do kina.

Do czasu swych zaręczyn każdą niedzielę i wolny dzień spędzał w towarzystwie matki, ale od rozmowy w Świdrze widział matkę tylko raz i to przelotnie. Przyszła do niego do biura w czasie urzędowania.

Wyszedł do niej zmieszany, niepewny. W głębi duszy czuł, że postępuje z matką niegodnie i niewdzięcznie, ale namiętność do Anny opętała jego jestestwo tak, że zagłuszyła w nim sumienie i porywy serca.

Przytuliła na sekundę głowę jego do swej piersi, a gdy odchodziła popatrzyła mu w oczy głębokim, mocnym spojrzeniem, na dnie którego czaił się niepokój i przeogromny ból. Nie spał całą noc po tej wizycie, ale nazajutrz był znów pod urokiem i władzą Anny.

W drodze do kina przechodząc ulicą Marszałkowską zauważył młodego mężczyznę, który mijając ich, mrugnął porozumiewawczo do Anny i wykonał znaczący ruch dwoma palcami lewej ręki.

Odpowiedziała podobnym mrugnięciem, poruszywszy małym palcem prawej ręki.

Sekunda jedna, a mimo to Leon zauważył te manewry.

Podejrzenie i zazdrość ugryzły go w serce.

— Anno, kto jest ten mężczyzna?

— Który? — odpowiedziała udając zdziwienie.

— Ten, z którym się porozumiałaś oczami.

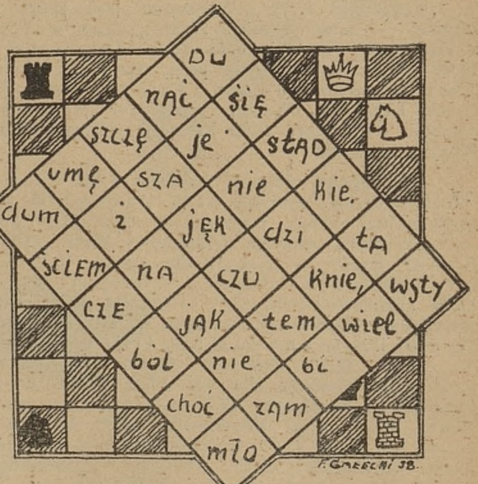
Udała oburzenie, a może i naprawdę była zła, że ją przyłapał. Odpowiedziała szorstko.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

uł. F. Gałecki.



Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki, która wyrazi złotą myśl Henryka Sienkiewicza.

Bilety wizytowe

uł. „Eros".

L. Bantora
R. Krześla
H. Mlecki

Odgadnąć zawód tych trzech osobników.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 29 kwietnia br.

Rozwiązania zadań z nr. 15 „Moich Powieści": Rebus wiosenny: Wiosna idzie. Kryptogram: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Lenart Tadeusz — Rakowice, Kozłowska Maria — Katowice, Dorożyński Eustachy — Trzeciewiec, Mielec Henryk — Tuczno, Chełminiakówna Joanna — Bydgoszcz, Sühringowa — Grabów n. P., Zawacka — Warlubie, Banasiak Stefa — Bydgoszcz, Winiecki Roman — Juńcewo.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Kozłowskiej z Katowic i Mielcowi z Tuczna



Niedziela, dnia 24 kwietnia 1938.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Tarnopola 12.03 Poranek symfoniczny z Poznania 13.10 „Ze Zbaraża do Tarnopola" — fragment z „Ogniem i mieczem" 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Recital fortepianowy M. Horoszowskiego 16.45 „Amer — ponury cień Sahary" — opowieść mówiona 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie — transm. z Tarnopola 19.00 Słuchowisko: „Kurocek i gaicek" 19.25 Transmisja z II dorocznego biegu „Raszyn—Warszawa" 19.40 Słynni wirtuozi — 19-ta audycja 21.15 Wesoła Syrena: „Dwaj autorzy w poszukiwaniu tematu" 22.00 „Opowieść o Wagnerze" — I audycja.

Poniedziałek dnia 25 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 „Za czasów Biedermayera" — koncert orkiestry A. Hermana 17.00 „Olbrzymie napięcie elektryczne" — odczyt 17.15 Recital wiolonczelowy D. Dańczowskiego 18.10 Billy Mayerl: 2 suity fortepianowe — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Kiedy ambicja jest dodatnim czynnikiem wychowania"? 20.00 Historia tańca — „Genealogia dancingu" 21.00 „Tosca" — Pucciniego, opera z płyt.

Wtorek, dnia 26 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Antoniego Rubinsteina — płyty 12.03 Audycja południowa 15.45 „Moje wielkie zmartwienie" — opowiadanie Makuszyńskiego dla dzieci 16.15 Koncert solistów 17.00 „Wśród szleuchów" — pogadanka 17.15 „Wielkanoc pod starą cerkiewką" — audycja muz. 17.50 „Żelazo w Tatrach i Karpatach" 9 pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „W czterdziestolecie pracy pisarskiej Henryka Zbierzchowskiego" — aud. literacka 20.00 Franciszek Lehar — Wielkie poutpourri na motywach operetek — koncert 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 27 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Koltan Kodaly: fragment ze suity „Hary Janos" — płyty 12.03 Audycja południowa 15.45 „Admiral Ryszard Byrd" — pogad. dla dzieci 16.15 „Czy jest komunizm w muzyce" — audycja muzyczna 17.00 „Kaniów i Bobrujsk" — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 17.50 „Przygotowanie młodzieży szkolnej do obrony kraju w Niemczech" — odczyt 18.10 Orkiestra Alberta Sandlera — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Pieśni w wyk. Cezarego Kowalskiego 19.35 O nadmiarze energii mówić będzie prof. Kotarbiński 20.00 Muzyka taneczna — płyty 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Józefa Smidowicza 21.45 „100-lecie Tygodnika Literackiego" — aud. literacka 22.00 „Konkurs chórów regionalnych" — III audycja 22.35 Muzyka lekka — płyty.

Czwartek, dnia 28 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Oratorium" — poranek muzyczny dla liceów 12.03 Audycja południowa 15.45 Wędrówki muzyczne 16.15 Muzyka taneczna polskich kompozytorów 17.15 Recital fortepianowy Mieczysława Münsa 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Widzenie Świętego Jacka" 19.30 Ballady Karola Loewe 20.00 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21. Muzyka taneczna 21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki W. Grubińskiego 22.00 Koncert inauguracyjny T-wa Krzewienia Muzyki Kameralnej.

Piątek, dnia 29 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pietro Mascagni: fragmenty z op. „Iris" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.15 Walce starego Wiednia 17.00 Chałupnictwo, jego rola i przyszłość pogadanka 17.15 Z węgierskiej twórczości chóralnej 18.10 Motywy egzotyczne w muzyce operetkowej — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Pan Jowialski" — komedie Fredry Wiecz 7-my 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 30 kwietnia 1938.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Leo Delibes: Sylvia — muzyka baletowa 12.03 Audycja południowa 15.45 Słuchowisko dla dzieci: „Marsz, marsz na wały z doroślejszym mały" 16.15 Kapela Ludowa Feliksa Dzierażnowskiego 17.00 „Gdy demony grasowały po świecie" — felieton 17.15 Pieśni ludowe z 17-go w. w wyk. Beli Csoka — śpiew 18.15 Pills i Tabet śpiewają piosenki solowe — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.10 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne z kwietnia 22.00 Konkurs chórów regionalnych — 4-ta audycja 22.35 Muzyka lekka — płyty.



MIŁOŚĆ

Magda: — Ja wyjdę za ciebie, choćbyśmy mieli żyć o chlebie i o wodzie.

Iwan: — Dobrze, ty się postaraj o chleb a ja o wodę.

CZYJA CHWAŁA WIĘKSZA

Przed królem Sparty Agesilausem (398—361 przed Chr.) stanęło pewnego dnia kilku wojowników, mocno poznaczonych bliznami, chwaląc się, że rany ich są dowodem, iż nigdy nie dawali nieprzyjacielowi tyłów.

Król rzekł:

— Wolałbym wszelako mieć na mojej służbie tych, którzy was tak pokiereszowali!

ZROZUMIAŁ

— Tato, co to jest tradycja?

— Tradycją, moje dziecko nazywamy to, co przechodzi z ojca na syna. Daj mi jakiś przykład.

— Moje spodnie, tatusiu.

NAJWŁAŚCIWSZE KROKI

— Jakie kroki należy uczynić, gdy się zobaczy wściekłego psa?

— Jak najdłuższe.

WSPOMNIENIA

— Słuchaj, pamiętasz jeszcze o tych 100 złotych, które ci pożyczyłem?

— No chyba, jest to jedno z moich najpiękniejszych wspomnień!

NA NIEGO KOLEJ...

„Panie sąsiedzie, czy ma pan zamiar założyć w tym roku ogród warzywny?"

Nie — teraz pana kolejka, ja w tym roku trzymam kury

ZAJĘTY CZŁOWIEK

Mały Kazik dokazuje podczas lekcji. Nauczyciel postanawia go ukarać.

— Zostaniesz dzisiaj po lekcji w klasie od 12-tej do 1-szej.

— Niestety, nie mogę proszę pana.

— Dlaczego?

— Bo od 12-ej do 1-szej jestem zajęty.

— Zajęty?!

— Na tę godzinę zostawił mię w klasie już pan od arytmetyki.

WIERZYCIEL I DŁUŻNIK

— Cóż pan myślisz, że ja dla tych marnych 20-tu złotych będą sto razy na 5-te piętro wchodził.

— A cóż pan chce, żebym ja dla tych marnych 20-tu zł kupił mieszkanie na parterze ?

W HOLLYWOOD

Codziennie o 9-tej rano przed drzwiami reżysera zjawia się pewien statysta i nieśmiało zaglądając do biura, pyta:

— Czy dziś nie ma dla mnie czegoś? Może jakaś mała rola?

Reżyser za każdym razem zaprzecza ruchem głowy i odpowiada:

— Nie, dziś jeszcze nic nie ma.

Minęło tak pół roku. Codziennie biedny statysta otrzymuje tę samą odpowiedź.

Pewnego dnia wpada on do biura reżysera i krzyczy już od progu.

— Hallo, proszę pana, przez dwa następne tygodnie proszę na mnie nie liczyć, bo jadę na urlop.

PIERWSZA W NOCY

Żona: — Janku, czy to ty?

Mąż: — Ma się rozumieć. A kogo ty, do kaduka, spodziewałaś się o tej porze w nocy?

W SZKOLE

— Niech mi który z was powie przysłowie, które już dziś wyszło z użycia?

— Ja wiem — wydziera się mały jojne Pistolet.

— „Uczciwością i pracą ludzie się bogacą".

POPRAWIŁ

W czasie uroczystości jubileuszowych w Sowietach w oknach wszystkich sklepów wystawiono podobiznę Stalina. Przed wystawą staje dwóch pijaków.

— Miszka — odzywa się jeden do drugiego — żebym tak miał pieniądze na wyrzucenie to bym kupił sobie takiego pokrakę.

W tej chwili wybiega agent GPU i łapie pijaka za kołnierz.

— Dajcie mu spokój, towarzyszu — odzywa się drugi pijak. — Widzicie, że jest pijany, a wiecie że po pijanemu człowiek kupiłby każde paskudztwo.

USPOKOIŁ JĄ

Starsza pani rozmawia na okręcie z kapitanem Jest ciemna noc.

— Panie kapitanie, co by to było, gdybyśmy najechali na górę lodową?

— O, mogę panią zapewnić, że górze lodowej nic by się nie stało.

— No, to dobrze — wzdycha z ulgą pani. — Wobec tego mogę spać spokojnie.

BARDZO ŻAŁUJĘ

Dyrektor po powrocie do biura pyta woźnego.

— Czy był kto do mnie?

— Tak, panie dyrektorze, był jakiś pan.

— Czy mówił co?

— Owszem, mówił, że chce pana obić.

— A coś ty mu odpowiedział?

— Powiedziałem, że bardzo żałuję, ale pana dyrektora nie ma w biurze.

TO NAJWAŻNIEJSZE

— Czy ogłosiłeś już oficjalnie o twoich zaręczynach z bogatą panną Rozenszlokowską?

— Właściwie tak jak oficjalnie, bo zawiadomiłem już wszystkich moich wierzycieli.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.